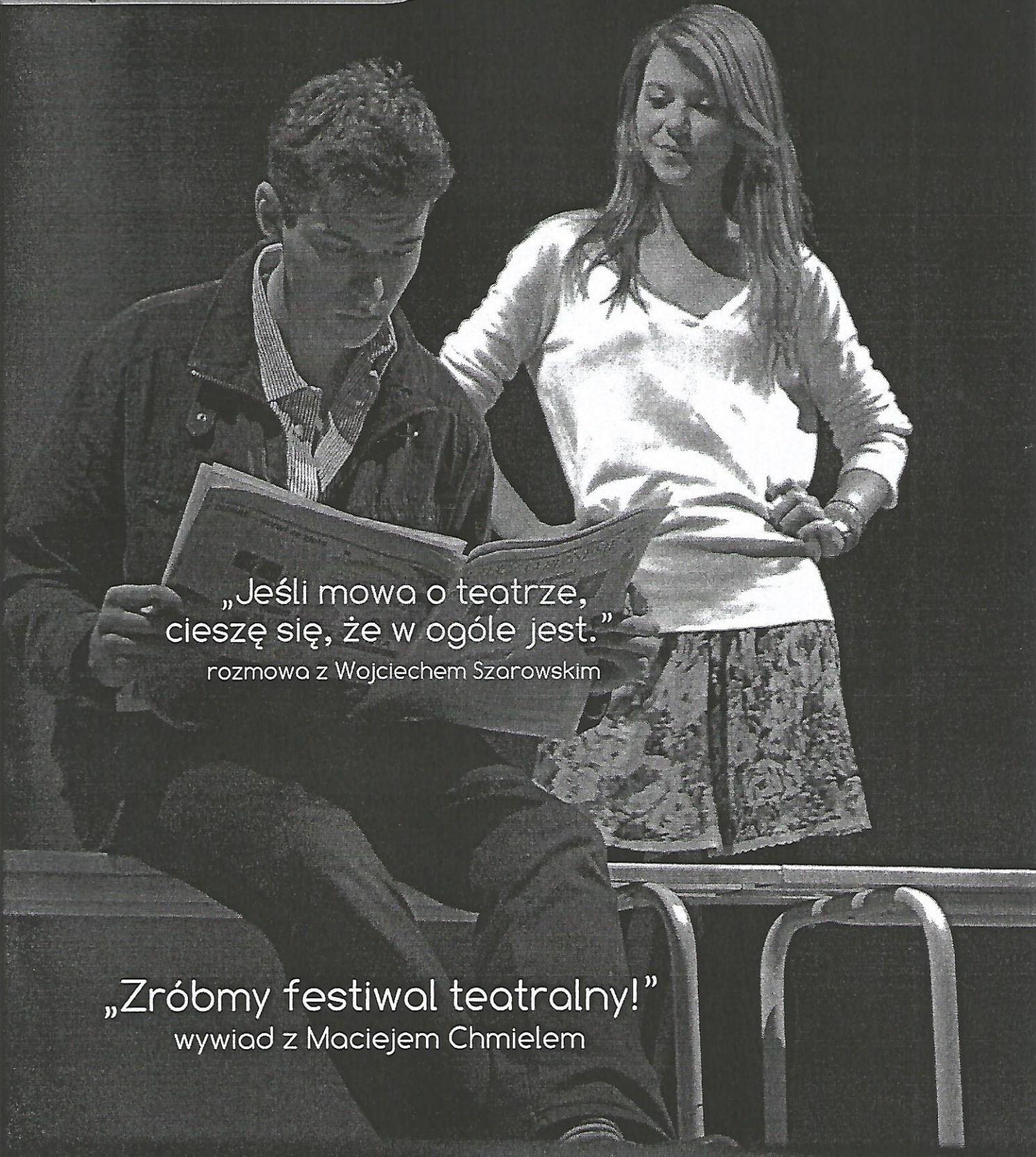


Drugi numer gazety XV Festiwalu!

Subiektywnik

28 listopada 2009, cena: 0 zł (w tym 7% VAT)
XV Festiwal Teatralny w Kochanowskim



„Jeśli mowa o teatrze,
cieszę się, że w ogóle jest.”

rozmowa z Wojciechem Szarowskim

„Zróbmy festiwal teatralny!”

wywiad z Maciejem Chmielem

Spis treści:

Spis treści.....	2
Wstępniak.....	3
Program.....	3
Jury.....	4
Reportaż - Zaczęło się o 16.00	5
Zapowiedzi:	
Maja.....	6
Ostatni przystanek.....	6
Hamlet.....	7
Szach mat.....	7
Gastrofaza.....	8
Kula.....	9
Adamowe źebro.....	10
$C_9H_{13}NO_3$	10
Bombonierka.....	11
Rozmowy z cutem.....	11
Kwintesencja	12
We mnie.....	12
Recenzje:	
14 stóp stąd.....	13
Na pełnym morzu.....	13
Ławeczka.....	14
Sęk.....	15
Guliwer.....	15
Sztuka.....	16
Istna diaboliada.....	17
Arszenik i stare koronki.....	18
Muzeum żywych ludzi.....	19
Wywiady:	
„Zróbmy festiwal teatralny!”	20
Dojrzałość młodszej naiwności.....	25
“Chcę spróbować czegoś nowego”	27
Tłumy w kolejce do Piotra Jagodowskiego	28
“Mam nadzieję, że będzie dobrze”	30
“Z pamiętnika poznańskiego konferansjera”	31

Redaktorzy	Gierba Konstancja, Kaliszewska Joanna, Kujawska Zofia, Supeł Kamila, Kaczmarczyk Grzegorz, Krakowiak Paweł, Łaziuk Piotr, Marczyk Wiktor, Nowakowski Tomasz, Przytuła Paweł, Tworzowski Karol
Fotografowie	Mik Anna, Płusa Monika, Santorek Natalia, Szczuka Ewelina, Nawrocki Radosław
Skład i design	Piątek Katarzyna
Redaktorzy naczelni	Urbańska Paulina, Hoff Emil
Asystentka	Zięmba Katarzyna, Pietrowski Marcin

Sobota inna niż wszystkie

{ Przed nami drugi dzień XV Festiwalu Teatralnego w Kochanowskim!

Czeka nas wiele wrażeń: zobaczymy między innymi parodię „Hamleta”, adaptację humoreski z „Teatryku Zielona Gęś”, inscenizację nieznanego dramatu Herberta, pantomimę o wpływie, jaki na ludzkie życie ma emocjonalne przywiązanie, spektakl o złożonych stosunkach damsko-męskich, przedstawienie mające przenieść widownię w świat doznań filmowych, a także opowieści o samobójstwie, jeździe i życiu w ogólności. Ponadto redaktorzy Subiektywnika opiszą swoje doświadczenia, które wynieśli z wczorajszych spektakli: dowiecie się choćby tego, co myślimy o „14 stopach”, jak siedziało nam się

na „Ławeczce”, czy „Istna diabolida” była faktycznie diaboliczna i czy „Arszenik...” zwałił nas z nóg. Udowodnimy też, że zdrowy, pozbawiony nałogów człowiek jest w stanie obejrzeć „Muzeum żywych ludzi” od początku do końca.

Drugi numer Subiektywnika oferuje nie tylko zapowiedzi spektakli i recenzje. Zachęcamy również do lektury wywiadów z organizatorami Festiwalu: w tym numerze prawdziwy cymes – rozmowy z Maciejem Chmielem, pomysłodawcą imprezy i Szefem jej trzech pierwszych edycji, oraz z prof. Szarowskim, teatrologiem i członkiem festiwalowego Jury.

Na zakończenie słów kilka o małych z pozoru rzeczach, które zmieniły teatr.

Życzymy miłej lektury – nie możemy zagwarantować Wam intelektualnej ekstazy, ale z pewnością polubicie pana Dragona.

Redakcja

Program Festiwalu

15. FESTIWAL
teatralny
w Kochanowskim

27-29 listopada

16.00-16.15 rozpoczęcie drugiego dnia XV Festiwalu Teatralnego

16.15-16.45 „Maja”

16.45-17.25 „Ostatni przystanek”

17.25-17.45 „Hamlet”

17.45-18.00 „Szach mat”

18.00-18.15 PRZERWA

18.15-18.35 „Gastrofaza”

18.35-18.50 „Kula”

18.50-19.15 „Adamowe zebro”

19.15-19.45 C₉H₁₃NO₃

19.45-20.00 PRZERWA

20.00-20.50 „Bombonierka”

20.50-21.20 „Rozmowa z cutem”

21.20-21.40 „Kwintesencja”

21.40-22.00 „We mnie”

Jury

{ Nie byłoby Festiwalu Teatralnego w Kochanowskim bez grupy ludzi, którzy związali swe życie z teatrem i znajdują się na nim świetnie: festiwalowego Jury.

To grono znawców sceny oceniać będzie spektakle wystawiane na deskach XXVIII LO, zaś pod koniec ostatniego dnia Festiwalu nagrodzi najlepszych aktorów, reżyserów i scenarzystów. W skład gremium wchodzi dwóch wykładowców i ośmioro absolwentów naszej szkoły, z których wszyscy zawodowo zajmują się teatrem i dramatem.

Prezentujemy Wam festiwalowych Jurorów – dzięki ich uprzejmości, zamiłowaniu do teatru i fachowej wiedzy, festiwalowy konkurs dramatyczny przebiegnie sprawnie, a nagrody będą w pełni zasłużone!

Pan Jerzy Kunicki – dyrektor XXVIII LO. Naucza fizyki, o której mówi, że rozgrywa się w najwspanialszym teatrze, jakim jest otaczający nas wszechświat. Jest dobrym duchem Festiwalu Teatralnego, zgodnie współpracującym z organizatorami i wspierającym przedsięwzięcie uczniów Kochanowskiego od pierwszej edycji imprezy.

Pan Wojciech Szarowski – naucza wiedzy o teatrze i dramacie w XXVIII LO. Obecni i dawni uczniowie prof. Szarowskiego mówią o jego bezkompromisowym charakterze - obok którego nie można przejść obojętnie - i szerokiej wiedzy. Prof. Szarowski jest członkiem festiwalowego Jury od pierwszej edycji FT, posiada ogromne doświadczenie, a z jego opiniami liczy się zdecydowana większość twórców z LO im. Jana Kochanowskiego.

Pan Piotr Cieplak – reżyser teatralny, studiował na Wydziale Wiedzy o Teatrze w warszawskiej Akademii Teatralnej, współpracował z Teatrem Wilama Horzycy w Toruniu, wrocławskim Teatrem Współczesnym i warszawskim Teatrem Dramatycznym. W latach 1996-1998 był dyrektorem artystycznym Teatru Rozmaitości.

Pani Anna Rochowska – ukończyła Podyplomowe Studia Menedżerskie dla Twórców, Artystów i Animatorów Kultury na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego. Jest pedagogiem teatralnym, prowadzi wykłady z historii teatru dla młodzieży, a także warsztaty teatralne dla dzieci ze szkół podstawowych. Od 1996 roku pracuje w warszawskim Teatrze Rozmaitości.

Pan Adam Karol Drozdowski – studiuje scenografię w Akademii Sztuk Pięknych i wiedzę o teatrze i dramacie w Akademii Teatralnej. Z Festiwalem Teatralnym w Kochanowskim związany jest od lat - tworzył festiwalową gazetę, reżyserował spektakle, występował na scenie.

Pan Jakub Kasprzak – studiuje reżyserię w Akademii Teatralnej. Zasłużony dla FT w Kochanowskim, na przestrzeni swych szkolnych lat występował na scenie i reżyserował wiele spektakli, wystawionych na deskach XXVIII LO.

Pani Helena Marczevska – studiuje na Wydziale Wiedzy o Teatrze w Akademii Teatralnej, współtworzyła FT, wielokrotnie występowała na scenie XXVIII LO, odnosząc sukcesy i zdobywając uznanie publiczności.

Pani Natalia Staszczak – studiuje w Akademii Teatralnej, przeprowadza wywiady z ludźmi sceny dla portali internetowych, m.in. serwisu teatralnego Teatr Dla Was. Jako uczennica XXVIII LO organizowała kolejne edycje Festiwalu, pisała recenzje przedstawień i występowała w licznych przedstawieniach. Od wielu lat jest członkinią festiwalowego Jury.

Pan Krzysztof Rylski – jako uczeń angażował się w Festiwal Teatralny zarówno jako organizator, jak i artysta, niejednokrotnie zdobywając uznanie festiwalowego Jury. Wraz z Witoldem Walkiewiczem stworzył legendarną serię przedstawień o Leninie.

Pan Witold Walkiewicz – zna Festiwal od podszewki, współtworzył go wraz ze szkolnymi kolegami, działając w Sekcjach i występując przed publicznością. Współtworzył cykl spektakli o Leninie, który zdobył uznanie Jury i liczne festiwalowe nagrody.

Zaczęło się o 16.00

{ Reportaż z otwarcia jubileuszowego XV Festiwalu Teatralnego w Kochanowskim

Zosia Kujawska

Oczekiwania wobec Festiwalu Teatralnego są zróżnicowane. Asia (kl. 1) mówi: „Patrząc na to, jak sumienne były i są przygotowania, najwięcej oczekuję od organizatorów. Widać, że wszyscy są zaangażowani i bardzo się starają”, Marta (kl. 2) dodaje: „Oczekuję mocnych wrażeń i spojrzenia na znane twarze w innym świetle.” Ania (kl. 3) stwierdza z kolei: „Spodziewam się ciekawych wrażeń zapewnionych przez rówieśników, interesujących sztuk i wielu emocji”.

Alek Sosiński, V-ce Szef Festiwalu, na pytanie o oczekiwania wobec imprezy, odpowiada: „Chcę, żeby wszyscy dobrze się bawili. Staramy się zorganizować Festiwal jak najlepiej, ale najważniejsza jest atmosfera, poznawanie nowych ludzi. Oczekuję dobrych sztuk i zadowolenia ze strony widzów”. W szkole panuje nastrój zniecierpliwienia, organizatorzy dopinają wszystko na ostatni guzik. Wszyscy zastanawiają się, jak wypadnie tegoroczny Festiwal.

W końcu nadszedł piątek, godzina 16:00. Sala się zapełniła, ludzie wyczekiwali ze zniecierpliwieniem na wejście konferansjerów. Oczekiwanie przedłużało się, ponieważ wciąż jeszcze na widowni pozostawały wolne miejsca, a członkowie Jury zajęci byli rozmowami z gośćmi. Za plecami widzów kamera na wysięgniku rejestrowała każdą minutę. Z lekkim opóźnieniem zgasło światło. Ludzie zamilkli. Z rzutni-

ka został wyświetlony film promujący XV-ty Festiwal Teatralny. Po projekcji na scenie stanęła Faustyna Gawryluk i piątka konferansjerów.



Mimo problemów z mikrofonem, zaczęli śpiewać festiwalową piosenkę, po której zaczęła się główna część rozpoczęcia.

Na wstępie przedstawieni zostali członkowie Jury. Pozostało już tylko przeciąć wstęgę, by Festiwal został oficjalnie uznany za otwarty. Dokoła tego dyrektor XXVIII LO, Jerzy Kunicki. Zanim zaczęło się pierwsze przedstawienie, na scenę weszła czwórka pierwszoklasistów, by zaprezentować swój pokaz taneczny „Noc przed wyprzedzą”. Kilkuminutowy show został przyjęty przez publiczność bardzo entuzjastycznie

i nagrodzony gromkimi brawami. „Bardzo mi się podobało!” – słychać głosy z widowni. Po występie rozpoczęła się pierwszy spektakl.

Paulina Czach, Szefowa imprezy, komentuje: „Jestem zadowolona z pierwszego dnia Festiwalu. Było trochę problemów technicznych, ale poradziłyśmy sobie z nimi i później wszystko już działało prawidłowo. Mam kilka pomysłów na udoskonalenie np. nagłośnienia, więc następne dni będą przebiegały sprawniej. Udało nam się zrealizować prawie cały plan – z wyjątkiem samej końcówki – bez obsunięć. Jury jest zadowolone. Niestety nie udało mi się zobaczyć żadnej sztuki w całości, ale nadrobę to w następnych dniach. Pierwszy dzień dla organizatorów jest zawsze najcięższy, ponieważ mamy wtedy naj-

więcej stresu – ten dzień to odpowiedź, czy wszystko działa tak, jak przewidzieliśmy.

Najtrudniej jest od momentu rozpoczęcia do pierwszej przerwy, potem ustaliśmy ostatnie poprawki i z każdym spektaklem jest lepiej. Pierwszy dzień XV Festiwalu Teatralnego upłynął bardzo pozytywnie”.

Pozostaje mi zaprosić Was do oglądania przedstawień tak dziś, jak i jutro!

Maja

{ Zapomniane dzieło Herberta

Paweł Przytuła: Jak wynika z informacji zawartych w formularzu zgłoszeniowym Twojej sztuki, „Maja” to inscenizacja dramatu Zbigniewa Herberta. A jednak, przeglądając listę jego dzieł dramatycznych, nie znalazłem żadnego pod takim tytułem, ani zbliżonego fabularnie.

Piotr Hildt: Nic dziwnego, gdyż „Maja” to faktycznie nieznana sztuka Herberta, która została wydana dopiero w tym roku, po 47 latach od powstania. Odważę się rzec, że moja realizacja to jej sceniczna prapremiera. Wynika to zapewne z tego, że dramaturgiczną twórczość Herberta do dziś traktuje się jako poboczny wątek w jego dorobku literackim i zapamiętaliśmy go raczej jako poetę niż dramatopisarza.

P.P.: Czemu akurat Herbert i czemu ten konkretny utwór?

P.H.: „Maja” już po pierwszym przeczytaniu bardzo mnie zaintrygowała swoją oryginalnością. Poza tym, ubiegły rok, który upłynął pod znakiem Herberta, nie był obchodzony w żaden szczególny sposób.

Do przygotowania spektaklu skłoniła mnie pewna wyjątkowość utworu oraz to, że nie był nigdy wystawiany na scenie.

P.P.: Zechciałbyś przybliżyć Czytelnikom fabułę oraz bohaterów spektaklu (Czytelnikom)?

P.H.: Sztuka opowiada o znajomości pewnego mężczyzny z nastolatką – Mają. Ten pierwszy, odgrywający podwójną rolę - narratora i bohatera - opisuje zdarzenia

z wakacji, podczas których spotkał Maję. Poznajemy również chłopca - przyjaciela tytułowej bohaterki, stanowiącego niejako przeszkodę w przyjaźni między nią a mężczyzną.

P.P.: W jakiej konwencji utrzymana będzie sztuka?

P.H.: Spektakl oparty będzie na nieustannym przeplataniu świata rzeczywistego ze wspomnieniami mężczyzny. Towarzyszyć będzie temu liryczna muzyka Roberta Schumanna.

P.P.: Stawiasz na wierność oryginałowi czy raczej jego luźną in-

Paweł Przytuła
interpretację?

P.H.: Dołożyłem wszelkich starań, by sztuka była w całości wierna oryginałowi.

P.P.: Co chciałbyś swoim spektaklem przekazać widzom?

P.H.: Najważniejsze dla mnie jest ukazanie niemożliwości porozumienia ludzi należących do różnych generacji, posiadających odmienne ideały i życiowe doświadczenie. Istotne jest również to, jak bardzo często we współczesnym świecie ludzie ukrywają swoje prawdziwe oblicze w kontaktach z innymi oraz manipulują swymi myślami, chcąc zatuszować prawdę. Choć „Maja” została napisana blisko pół wieku temu, zjawiska i problemy, z jakimi borykają się jej bohaterowie, okazują się nam bardzo bliskie. Ale o tym widzowie muszą już przekonać się sami, dlatego serdecznie zachęcam do obejrzenia spektaklu.

Sobota 16.15

Ostatni przystanek

{ I jego tajemnica

Karol Tworzowski

Pragnąc napisać zapowiedź „Ostatniego przystanku”, zerknąłem do formularza zgłoszeniowego sztuki, aby dowiedzieć się czegoś na temat scenariusza i fabuły. Spotkało mnie jednak zaskoczenie: Julia Wiśniewska, uczennica klasy IIIC, a przede wszystkim reżyser spektaklu, nie zawarła w nim żadnych in-

formacji. Pomyślałem, że pewnie zrobiła to celowo, więc postanowiłem do niej zadzwonić, aby poznać przyczyny tej tajemniczości... I tu znów natrafiłem na przeszkodę: w formularzu zgłoszeniowym nie znalazłem numeru telefonu Julii.

Na szczęście, w końcu, przy użyciu magicznych metod, uda-

ło mi się skontaktować z reżyserką „Przystanku...”. Braki w formularzu okazały się celowe, jednak Julia zgodziła się na krótką rozmowę, w której ujawniła nieco ze swojej tajemnicy. Sztuka porusza problem poznawania i analizowania własnej osoby. Zapowiada się bardzo psychologicznie, bowiem głównym

wątkiem fabuły jest samobójstwo. Hasło bardzo ogólne, ale niczego więcej nie udało mi się dowiedzieć. Podobno całość ma zostać przedstawiona w bardzo niekonwencjonalny sposób.

Dużym atutem może okazać się sam scenariusz. Z tego, co mi wiadomo, jest efektem wyężonej i długotrwałej pracy Julii - napisała go zupełnie samodzielnie. Do

udziału w jego inscenizacji zaprosiła wiele osób, które trudno tu wymienić. Główne role grają w każdym razie postaci znane i lubiane: Kasia Wyczesany i Hubert Żelazko. To kolejna zaleta „Ostatniego Przystanku”.

Największą zaletą tego przedstawienia pozostaje jednak to, co od początku było intencją pani reżyser: tajemniczość. Nie wiemy

o niej zbyt wiele, a to, co wiemy, tylko wzmagą naszą ciekawość. Myślę, że Julia dopięła swego i w sobotę o 16:45 widownia kochanowskiego teatru będzie wypełniona zaintrygowanymi widzami. Zapraszamy!

Sobota 16.45

Hamlet

{ Nie mowa tu jednak o klasycznym dramacie Szekspira. Marcin Bychawski przygotował dla kochanowskiej publiczności coś znacznie bardziej oryginalnego

Mianowicie parodię owego wielkiego dzieła, której scenariusz wypełnił swego czasu sam Jeremi Przybora. Przybory nikomu przedstawiać nie trzeba, za to można – a nawet trzeba – oczekiwać wiele od dramatu jego autorstwa. Błyskotliwość, humor i celne puenty to charakterystyczne cechy utworów warszawskiego poety. Przypomnijcie sobie, kiedy ostatnio oglądaliście celnie spuentowany spektakl – taki, którego finał nie byłby przewidywalny, a przesłanie oklepane. A teraz pomyślcie, kiedy ostatnim razem wi-

dzieliście UFO.

Jednak nie sam tekst dramatyczny będzie atutem „Hamleta” Marcina Bychawskiego. Reżyser zdecydował się przyjąć w swym spektaklu konwencję teatru elżbietańskiego: aktorami będą wyłącznie mężczyźni. W przypadku postaci Leartesa czy Hamleta nie jest to kłopotliwe, jednak Andrzej Liebert w roli Ofelii i Łukasz Nawrot jako Królowa z pewnością stanowiąc będą pewną atrakcją.

Cóż więcej rzec, by przekonać Was, że „Hamlet” wart jest

obejrzenia? Jeśli nie jesteście zaintrygowani scenariuszem autorstwa Jeremiego Przybory albo szansą zobaczenia Łukasza w sukience, to znaczy, że prawdopodobnie jesteście martwi i nie ma co strzepić sobie języka. Do wszystkich żyjących wołam natomiast: zobaczcie „Hamleta” dziś o 17:25!

Sobota 17.25

Szach mat

{ Obrazy ze snu, które same siebie szczypią w ramię, nie budząc się przy tym, to my

Kamila Supeł: Trudno będzie uzyskać zadowalającą odpowiedź, ale spróbujmy – o czym jest Twój spektakl?

Magdalena Herman, reżyser: To dosyć skomplikowane [śmiech]! Opowiada on o życiu. O złożonej psychice każdego człowieka. O tym, jak ważne jest panowanie nad swoimi myślami. Tak naprawdę, żeby dowie-

dzieć się, o czym traktuje spektakl, trzeba go obejrzeć. Do czego bardzo serdecznie zapraszam w imieniu całej grupy!

K.S.: Jakie refleksje u widzów chcecie wywołać poprzez to przedstawienie?

M.H.: Zależy nam na tym, aby nie narzucać interpretacji. Chcemy, żeby każdy widz odebrał spektakl na swój

sposób, odnosząc się do własnych przemyśleń bądź przeżyć. Wymagamy bardzo dużego skupienia uwagi na tym, co pokazujemy.

K.S.: W jakich okolicznościach powstał scenariusz? Skąd pomysł na spektakl?

M.H.: Scenariusz? Co to takiego? [śmiech] Pracujemy nieco inaczej niż znane mi grupy teatralne.

Kamila Supeł

Nasz spektakl doskonalimy razem. Uczymy się od siebie nawzajem i tak naprawdę każdy ma jakiś swój własny wkład w powstały scenariusz. Pomysł wziął się z niczego. Razem z koleżanką wymyśliłyśmy, że założymy teatr alternatywny, gdyż miałyśmy styczność z tego rodzaju przedsięwzięciem i zafascynowało nas to. Miałyśmy już jakieś pierwsze pomysły. Usiadłyśmy z pysznym drinkiem i chipsami, i zaczęłyśmy szukać natchnienia w książkach – poczynając od Biblii poprzez dramaty Szekspira. W końcu zdecydowałyśmy, że będziemy opierać naszą pracę na książkach Josteina Gaardera. Tak naprawdę początkowa wersja spektaklu miała iść w nieco innym kierunku, jednak równoległe do ilości prób rodziły się nowe koncepcje i tym sposobem Teatr KOD stwo-

rzył spektakl „Szach mat”.

K.S.: Co rozumiesz przez pojęcie dramatu alternatywnego?

M.H.: Jest to alternatywne pokazanie sztuki, którą przeciętny człowiek nazwałby dramatem.

K.S.: Czy trudno było dobrać odpowiednich aktorów do Waszego przedstawienia?

M.H.: Znalezienie aktorów nie było trudne, od razu wiedziałyśmy, z kim chcemy współpracować. Potrzebowałyśmy osób twórczych, zarażających energią i chcących się przyłączyć do tworzenia spektaklu. Pracujemy w grupie dziesięcioosobowej, która - ewentualnie – może ulec małym zmianom. Ostatnio jedna z naszych aktorek miała duże problemy zdrowotne, musiała przejść

ciężką operację. Obecnie wszystko jest już dobrze i teraz wspiera nas ze wszystkich sił od strony technicznej, gdyż grać chwilowo nie może.

K.S.: Co chciałabyś powiedzieć widzom XV Festiwalu Teatralnego w Kochanowskim?

M.H.: Żeby nie sugerowali się tym, co powiedziałam, tylko przyszli i wsparli nas na scenie głośnymi oklaskami. Bo to jest coś, co każdy aktor, a zwłaszcza amator, lubi najbardziej.

K.S.: Dziękuję za rozmowę i powodzenia!

Sobota 17.45

Gastrofaza

{ Przez żołądek do serca (widzów)?

Grzesiek Kaczmarczyk

Pamiętacie zeszłoroczny, surrealistyczny spektakl „Zabij mnie”? Okazał się objawieniem Festiwalu, zebrał bardzo pochlebne opinie. Dlatego jego autorki poszły za ciosem i przygotowały jeszcze większą dawkę groteski w swojej nowej sztuce, „Gastrofazie”.

Ten symboliczny moralitet absurdu jest wspólnym dziełem uczennic klasy 3F – Wioletty Perzyk, Katarzyny Rodak, Anny Tkaczuk i Agnieszki „Zupy” Zubczyńskiej. Napisały one scenariusz i podjęły się reżyserii spektaklu. Oprócz samych autorek na scenie pojawią się też Magda Chałupka, Agnieszka Skiepmo i Piotr Łaziuk. Grupa ta zyskała uznanie na poprzednich Festiwalach (zarówno Teatralnym, jak i Filmowym), więc można spodziewać się rozrywki na wysokim poziomie.

Autorki stawiają Wam pytanie:

czy wyobrażacie sobie, że cały świat znajduje się w Waszym żołądku? To jedyne, czego można było dowiedzieć się o „Gastrofazie”. Treść spektaklu jest ściśle strzeżoną tajemnicą. Wiadomo, że chodzi o jedzenie - samo słowo „gastrofaza” to przecież slangowe określenie głodu. Temat jest dość ambitny i stwarza szerokie pole do popisu. Przecież jedzenie towarzyszy nam na co dzień. Dla jednych jest przyjacielem, dla innych wrogiem, przez którego waga miast trzydziestu kilogramów pokazuje sześćdziesiąt. Zdaniem mądrych głów, które zazwyczaj mają rację, jest tuż za seksem w rankingu ludzkich przyjemności. Odcisnęło również swoje piętno na tradycji – wystarczy wspomnieć o Ostatniej Wieczerzy czy uczcie Baltazara.

Jednak doświadczenie podpowiada, że w sztuce tej treść będzie odgrywać drugorzędą rolę. Au-

torki lubią serwować widzom porcje absurdu w tak dużych ilościach, że pisanie o konkretach nie ma sensu. Mała podpowiedź: oglądając „Gastrofazę”, wyłączcie racjonalne myślenie. Groteskowe sztuki „grupy Zupy” gwarantują rozrywkę bez konieczności rozumienia - pewnie dlatego „Zabij mnie” okazało się tak udane. Pozostaje jedynie wierzyć, że „Gastrofaza” będzie jeszcze lepsza.

Autorki kazały przekazać, że nie polecają sztuki widzom z pustymi żołądkami. Dobrze się zatem składa, że przed „Gastrofazą” nastąpi przerwa. Najedzonych i spragnionych teatralnej uczy widzów zapraszam na 18:10.

Sobota 18.15

Kula

{ „Pantomima nie jest sztuką bez słów – jest sztuką poza słowem.”

Kamila Supeł

Olga Domańska lubi wyzwania – zdecydowała się na zaprezentowanie pantomimy, bardzo trudnej formy spektaklu, która uwagę widza skupia na mimice twarzy, gestach i ruchach artysty; brakuje w niej słów, które często przysyłają grę aktorską. Niełatwo jest zrozumiale przedstawić sytuację, w której znalazł się bohater spektaklu, a przesłanie reżysera - niewerbalnie. Ponadto Olga będzie jedyną osobą, którą zobaczymy na scenie – wzrok widzów spocznie wyłącznie na niej. Jakby tego było mało, przedstawienie przygotowuje zupełnie sama – wzięła na siebie rolę aktorki, scenarzystki i reżysera.

Kamila Supeł: Nie boisz się, że nie podołasz?

Olga Domańska: Boję się, ale nie samego występu. Mając na uwadze, że będę jedyną osobą na scenie, bardziej obawiam się tego, że moja etiuda może nie być zrozumiała. Nie opanowałam jeszcze do końca tej sztuki, jaką jest pantomima. Zdecydowałam się na tę formę ze względu na to, że właśnie się jej uczę, a także dlatego, że często wbrew pozorom pełniej można wyrazić pewne myśli niewerbalnie. Uważam, że pantomima nie jest sztuką bez słów – jest sztuką poza słowem. Ma swój własny język. Staram się działać na wyobraźnię, która jest przecież tak ważna w naszym życiu.

Bardzo zaangażowałam się w pracę nad „Kulą” i będzie mi smutno, jeśli ktoś mnie zapyta: „Ale o co chodziło?”

K. S.: Trudno jest reżyserować, a więc oceniać i ulepszać własną grę? Może ktoś życzliwy podglądał twoje przygotowania do spektaklu i Ci doradzał?

O. D.: Nikt mi nie pomagał. Przyjaciółka obejrzała mnie w roli jedynie raz i powiedziała „Okej, tylko tam przyspiesz tempo” – na tym skończyła się pomoc. Bardzo trudno być reżyserem spektaklu i jednocześnie odtwórcą głównej roli. Człowiek zamyka się na pewne rozwiązania i często nie widzi właściwego wyjścia. Wtedy potrzeba jeszcze kogoś, kto obiektywnie oceni sytuację.

K. S.: O czym opowie nam Twoja pantomima?

O. D.: O przywiązaniu, jakie wytwarza się w naszym życiu względem różnych rzeczy. Każdy ma własne marzenia, środowisko, pewnych ludzi, dom, relacje z bliskimi osobami. Przywiązanie może być niebezpieczne, kiedy za daleko się posunie. Oblapia nas wtedy, chce zamknąć w sobie; może być toksyczne. Sami wiemy, jak to wygląda w naszym życiu. Pytanie – co z tym dalej zrobić? Czy mamy odwagę, aby zniszczyć, pozbyć się toksycznych, niezdrowych relacji, marzeń, myśli? Nie zawsze wystarczy je odepchnąć, czasem trzeba pójść dalej.

K. S.: Skąd wziął się tytuł spektaklu?

O. D.: Spektakl właściwie powinien nazywać się „Marzenie”, gdyż

jest to jedna z metafor tytułowej kuli. Tak naprawdę interpretacja stanowi dowolność; kula jest symboliczna. Dla mnie, w miarę tworzenia, kula symbolizowała wiele rzeczy, jednak zawsze było to coś z mojego osobistego życia.

K. S.: Dużo czasu poświęciłaś na próby?

O. D.: Na próby złożyło się wiele nocy, bo wtedy można spokojnie myśleć – nikt nie przeszkadza, natchodzą nas ciekawe refleksje.

K. S. Dziękuję za rozmowę i życzę sukcesu!

Sobota 18.35

Adamowe żebro

{ Żebro, które ma rozbawić.

Karol Tworzowski

Konstanty Ildefons Gałczyński, jeden z najbardziej znanych twórców satyrycznych w Polsce XX wieku, identyfikowany jest przede wszystkim z jednym ze swoich dzieł: serią humoresek „Teatryk Zielona Gęś”. Należy tu dodać, że identyfikowanym nie bez powodu, bowiem „Teatryk...” to jeden z najwspanialszych przykładów absurdałnego humoru w literaturze polskiej.

W kolejnym dniu XV Festiwalu Teatralnego w Kochanowskim będziemy mieli okazję zobaczyć, w jaki sposób z literaturą Gałczyńskiego postanowiła zmierzyć się grupa uczniów naszej szkoły, kierowana przez Agnieszkę

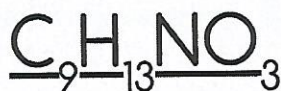
Gajewską i Radosława Nowackiego. Sami twórcy pozostają bardzo tajemniczy, mówiąc o swoim dziele: „Chcemy, aby to była niespodzianka, więc nie możemy na tym etapie ujawnić zbyt wielu szczegółów”. Jedno jest pewne: „Adamowe Żebro” nie jest wierną adaptacją skeczu „Gdyby Adam był Polakiem”. Agnieszka i Radek napisali scenariusz samodzielnie, opierając się jedynie o oryginał. Efekt może być interesujący, gdyż - jak sami mówią - „pozwoliliśmy sobie na pewne odstępstwa”.

Pytani o szczegóły, odpowiadają wymijająco. Otwarcie zresztą przyznają: „Chcemy zaskoczyć pu-

bliczność, więc nie możemy wszystkiego ujawnić.” W rozmowie nie odpowiedzieli mi konkretnie na pytania dotyczące scenografii czy użytych środków wyrazu. Miejmy nadzieję, że ta tajemniczość zapowiada ciekawą i pełną niespodzianek sztukę. Zespół teatralny gwarantuje, że widzowie nie będą mogli pozostać obojętni na to, co będzie się działo.

Przekonamy się o tym już dziś o godzinie 18:50.

Sobota 18.50



{ „Nieokreślona manipulacja, czyli 100% adrenaliny” – wywiad z Jakubem Koziołem, reżyserem spektaklu.

Konstancja Gierba

Konstancja Gierba: Na początku proszę o wyjaśnienie tego enigmatycznego tytułu, zadziwiającego chyba wszystkich: „C₉H₁₃NO₃..”

Jakub Kozioł: Sztuka nazywa się „C₉H₁₃NO₃”, chociaż podczas tworzenia nazwą roboczą było „Storm”. Oczywiście rozważaliśmy też użycie nazwy roboczej dla gotowego przedstawienia, ale mimo świetnego zakresu znaczeniowego słowa „Storm”, odrzuciliśmy ten tytuł i zaczęliśmy szukać nazwy lepiej oddającej to, co chciałem w sztuce pokazać. Jako że bardzo dużo świetnych tytułów było już „zajętych” przez bardziej lub mniej znane filmy, wybór nie był prosty i w końcu wpadłem na C₉H₁₃NO₃, które jest wzorem che-

micznym adrenaliny. W rozmowach o spektaklu posługujemy się czasem właśnie tym słowem - „Adrenalina”. Generalnie tytuł spektaklu nie mówi wprost o jego treści, ale zwraca uwagę na wybrane elementy sztuki.

K.G.: Skąd wziął się pomysł „typowego napadu na sklep”?

J.K.: Powiem szczerze, odnosząc się do tekstu zapisanego w formularzu zgłoszeniowym sztuki: był on trochę zapchajdziurą i zawarty w nim motyw napadu na sklep nie oddaje w pełni fabuły spektaklu - nie określamy w nim bowiem konkretnego miejsca akcji. Zabieg taki ma sprawić, że pewne elementy będą uniwersalne i odsunięte od widzów niektórych niepożądanych

skojarzeń. Sam pomysł przedstawienia był ewolucją idei, która nie dawała mi spokoju od dwóch lat.

K.G.: Jaka jest konwencja Twojego spektaklu?

J.K.: Nie chcę, żeby przed wystawieniem sztuki zbyt wiele elementów było jawnych, ale mogę powiedzieć, że założeniem sztuki miało być - w pewnym sensie - przeniesienie na scenę doznań typowych dla kina. Dlatego mamy zamiar grać uwagą widza i rozgrywać akcje na więcej niż jednej płaszczyźnie.

K.G.: Jakie emocje, odczucia chcesz wywołać u widzów?

J. K.: Chcę, żeby po zakończeniu spektaklu widzowie byli wręcz

zdezorientowani i żeby dopiero po jakimś czasie dotarło do nich, co tak naprawdę się wydarzyło. A wszystko to w filmowy, efektowny sposób.

K.G.: Dziękuję za rozmowę.

Sobota 19.15

Bombonierka

„Choć papierków po cukierkach / Ślad i tam i tu / Marzy mi się bombonierka / Istny cud” – Grzegorz Turnau

Grzegorz Kaczmarczyk

Każda bombonierka ma to do siebie, że znajdziecie w niej różnorodne smaki. A gdyby tak zawartość tytułowego pudełka czekoladek odnieść do relacji damsko-męskich? Powstanie bardzo inspirująca mieszanka. Przed Wami specjalna, festiwalowa „Bombonierka”.

Komedia ta jest autorskim pomysłem Magdy Kosmali, która nie dość, że napisała scenariusz spektaklu i podjęła się jego reżyserii, to jeszcze występuje na scenie. Bez obaw - Magda, jako koordynatorka całego Festiwalu, na pewno sobie poradzi. Szczególnie, że do pomocy ma świetnych fachowców z najlepszą aktorką ubiegłego FT, Faustyną Gawryluk, na czele. Na scenie pojawią się również między innymi Magda Sikora, a także mój redakcyjny kolega Karol Tworzowski. O poziom aktorstwa

nie należy się zatem martwić, wręcz przeciwnie – oczekiwania powinny być ogromne.

„Bombonierka” porusza temat-rzekę, mianowicie sprawy damsko – męskie. Cokolwiek by o nich powiedziano, zawsze można znaleźć coś nowego. Dowód? Wystarczy przytoczyć liczbę odcinków „Mody na sukces” - 5692(!) - to mówi samo za siebie. Dodatkowo rodzimy przemysł filmowy co chwilę zarzuca nas miłosnymi gniotami, w których od początku wiadomo, kto, z kim i dlaczego. Oto stosunki damsko-męskie w masowej kulturze XXI wieku. Jednak Festiwal Teatralny to zupełnie inna półka, więc „Bombonierka” powinna okazać się niebanalna. Magda Kosmala, choć nie ujawnia szczegółów, zapowiada, że będzie ciekawie i – przede wszystkim – śmiesznie. Spodziewajcie się

codziennych historii, ukazanych w niecodzienny sposób. Cokolwiek by to znaczyło, brzmi interesująco.

Podobno gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. Ale czy można odnieść to do złożonych relacji między kobietami i mężczyznami? Śmiem wątpić. W końcu kobiecie zawsze chodzi o faceta, a facetowi – o kobietę. Sztuka Magdy Kosmali utwierdzi nas w tym przekonaniu.

Forrest Gump mawiał, że życie jest jak pudełko czekoladek – nigdy nie wiesz, jaką wyciągniesz. O tym, co znajduje się w „Bombonierce”, przekonacie się już dzisiaj.

Sobota 20.00

Rozmowy z cutem

„Jest dawno, dawno temu, siedzimy zamknięci w pomieszczeniu, do którego nas - nie wiedzieć czemu - nie wiadomo kto przeniósł”

Konstancja Gierba

Fani rapera Łony od razu wiedzą, o co chodzi. Scenariusz spektaklu „Rozmowy z cutem” Michał Pawlik oparł właśnie na piosence tego artysty, zapożyczając z niej również tytuł dla swego dzieła. Wi-

dowisko ma obfitować w nieudomowienia, nowatorskie zabiegi, ma też łamać konwencje tradycyjnego teatru - a to wszystko okraszone będzie lekką satyrą na nasze rzekomo rozwinięte społeczeństwo oraz mu-

zyką z filmu „Piraci z Karaibów”.

Reżyser przyznaje, że w czasie tworzenia spektaklu zdawał się bardziej na własną intuicję niż wypracowane przez innych reguły rządzące teatrem. O swej sztuce mówi,

że poprzez opary absurdu przekaże nam ona treści mające dotrzeć do świadomych i otwartych umysłów. „Rozmowy z cutem” obok syntezy teatralnych konwencji zaoferują publiczności krytykę krzywdzących stereotypów, podaną w formie

atrakcyjnego widowiska. Widzowie szukający po prostu rozrywki również nie będą zawiedzeni, bowiem „Rozmowy z cutem” mają być przede wszystkim dobrą zabawą dla całej widowni.

Sobota 20.50

Kwintesencja

{ Skupmy się na rozmyślaniach o życiu

Zosia Kujawska

Zobaczmy, jak w trzynastominutowej pantomimie z elementami tańca (choreografia: Wioletta Cendrowska i Dominika Bartosiewicz) reżyser Jan Olejnik i siedmioosobowa obsada spektaklu przedstawi szczegóły prywatnego życia każdego z nas. Pantomima opowie o miłości, o naszych marzeniach, snach, nie zabraknie też magii. Widowisko wymagać będzie od widza otwarcia

się i uruchomienia wyobraźni, mimo pewnego minimalizmu, który będzie widoczny na scenie. „Bardzo chciałbym, żeby każdy odnalazł tu kawałek siebie (choć może nie być to przyjemne) i przede wszystkim coś poczuł, bo w teatrze powinniśmy najpierw czuć, a potem rozumieć” – mówi reżyser. W jaki sposób zostaną ukazane sekrety prywatności ludzi? Czy przedstawienie wzbudzi emocje

widzów? Czy wśród przeżyć bohaterów pantomimy rzeczywiście odnajdziemy własne doświadczenia? Do wiemy się tego dziś wieczorem.

Sobota 21.20

We mnie

{ „We mnie” to sztuka z gatunku niekomfortowych - jak określa go Kamila Supeł, reżyser i scenarzystka spektaklu, a przy tym jedna z trójki aktorów

Tomek Nowakowski

Cóż, dla autora owej zapowiedzi - na pewno. Dowiedzieć się o niej czegoś konkretnego było wyjątkowo trudno. Udzielanie wykrętnych odpowiedzi na moje pytania ewidentnie sprawiało Kamili niewypowiedzianą przyjemność. Ponieważ jednak praca zobowiązuje, podzielię się garstką wydartych niemalże siłą informacji.

Enigmatyczny, a jednocześnie niepokojący opis sztuki, zamieszczony w programie Festiwalu, jest cytatem z Biblii, konkretniej z Psalmu 88. Brzmi ciekawie? Twórczyni spektaklu stwierdziła, że pod

pozornie banalną tematyką sztuki zawarła pewien głębszy sens. Jaki? Odpowiedź na to pytanie widz musi znaleźć sam.

Spektakl ma być widowiskiem tylko dwóch aktorek, wymienionej już Kamili Supeł oraz Kasi Wyczesany, choć według słów Kamili pojawić ma się jeszcze trzecia osoba – mężczyzna. Rola tej tajemniczej postaci ma być epizodyczna, ale znacząca.

Przed ekipą „We mnie” stoi ciężkie zadanie. Kamila przyznała, że dopiero niedawno uświadomiła sobie, jakie wyzwanie podjęła.

Jednak - jeśli wszystko pójdzie po jej myśli - możemy mieć do czynienia z jedną z ciekawszych sztuk XV Festiwalu Teatralnego. Tak więc, jeśli nie szukacie banału, pustej historyjki do obejrzenia i natychmiastowego zapomnienia, to mogą się założyć, że „We mnie” przypadnie Wam do gustu.

Sobota 21.40

14 stóp stąd

{ Trudno o bardziej jaskrawy przykład sztuki, którą techniczne niedociągnięcia rozłożyły na łopatki

Tomek Nowakowski

Oczywiście wiem, że to był pierwszy spektakl i techniczni, mówiąc nieładnie, mogli dać ciała. Oczywiście wiem, że wystawiali go uczniowie z liceum im. Narczyży Żmichowskiej (plus kilku aktorów z naszej szkoły). Mimo to nie znajduję wytłumaczenia dla pomysłu mieszania sztuki teatralnej z filmem, który sprawia, że przedstawienie staje się bełkotliwe, rozlazłe, nie płynne, a osoby siedzące w połowie widowni przestają rozumieć cokolwiek.

Sztuka ta, na tyle na ile mogę to określić, była o stopach. Czego by nie mówić o problemach technicznych, to pomysł był oryginalny, muszę przyznać. Stopy były bowiem osiłą całej intrygi, której zawilść, niestety, szybko przerosła publi-

kę, jak i niżej podpisanego. Aktorzy w większości mówili cicho i mało wyraźnie, a mikrofony zbierały głównie skrzypnięcia (stóp!) o podłogę. Mimo wrażenia wyrwania z kontekstu parę scen naprawdę podobało mi się, więc tym bardziej żałuję, że niedostatki techniczne zabiły większość walorów tego spektaklu.

Scenografia była przebogata i trochę zbyt chaotyczna, jakby bez pomysłu. Zdaje się, że większość wysiłku poszła na te nieszczęsne przerywniki filmowe. Ach, uczniowie Narczyży, gdybyście tylko znali nasze realia technologiczne!

Najsilniejszym punktem przedstawienia była trójka głównych aktorów: dwie dziewczyny ze Żmichowskiej oraz uczeń naszej szkoły,

jeden z szefów Sekcji Technicznej, Marcin Bychawski. Bardzo dobrze poruszali się oni po scenie nie zasłaniając się wzajemnie (co jest główną bolączką wielu przedstawień naszego Festiwalu) i wypowiadali swoje kwestie zdecydowanie wyraźniej od reszty.

Uczniowie liceum im. Narczyży Żmichowskiej pokazali, że pomysłów u nich dostatek. Gdyby nie decyzja o wykorzystaniu tych niewiele wnoszących oprócz nudy i lekkiej frustracji filmów, sztuka na pewno wypadłaby dużo lepiej w oczach zarówno moich, jak i publiczności, a tak pozostaje tylko westchnąć i powiedzieć - „szkoda”.

Na pełnym morzu

{ Człowiek człowiekowi wilkiem

Joanna Kaliszewska

Natura człowieka jaka jest – każdy widzi – ale w jakiej formie ją przedstawić? Odpowiedź na to pytanie znalazły Magda Chałupka i Agnieszka Skiepmo, reżyserki spektaklu „Na pełnym morzu”, który powstał na podstawie opowiadania Stanisława Mrożka o tym samym tytule. To mieszanina brutalnych ludzkich zachowań, które ukazują się w obliczu zagrożenia. Jak daleko może posunąć się człowiek, aby zaspokoić swoje podstawowe potrzeby?

Trzech rozbitek, zawzięcie poszukujących jedzenia, skutecznie reprezentowało każdego z nas w codziennej walce o własne dobro. Było

to prawdziwe zderzenie niegodnych pochwały cech, które ujawniamy, gdy czujemy się w jakikolwiek sposób zagrożeni. Kłamstwo, podstęp, dyktatura, uderzenie w słabego przeciwnika – prawdziwy misz-masz wszystkich zjawisk społecznych, których się obawiamy zawarte w czterdziestu minutach. Spektakl pokazywał, jak bardzo śmieszni jesteśmy okazując nasz tak zwany instynkt samozachowawczy, którego główną cechą jest – niestety – czysty egoizm.

Na pochwałę zasługuje poprawna, realistyczna gra trzech głównych aktorek (wyżej wspomniane Magda i Agnieszka oraz Kinga

Szubańska) oraz fakt, iż słyszała je cała sala, co – ku mojej rozpaczy – nie towarzyszyło każdemu przedstawieniu. Dziewczyny świetnie spisały się w rolach mężczyzn, do perfekcji opanowały treść scenariusza, a nieprzerysowane emocje były łatwe do odczytania. Drugoplanowi bohaterowie równie dobrze poradzili sobie ze swoim zadaniem. Nie było tu miejsca na pomyłki czy niedociągnięcia. Ciekawym efektem było spowolnienie akcji, które pozwalało na przedstawienie przemyśleń bohaterów – równie rozpaczliwe jak ich czyny. Pomogło nam to znaleźć się na ich miejscu, zrozumieć ich postę-

powanie. Podobała mi się ewidentna zabawa formą, gdyż połączenie elementów komedii z tak ważnymi postawami życiowymi to prawdziwe wyzwanie - nie jestem jednak przekonana czy to zasługa wspaniałego pisarza, jakim jest Mrozek, czy też aktorek. Jedynym elementem spek-

taklu, który nie podobał mi się, była momentami statyczna gra występujących. Niekiedy nawet ciekawe dialogi zostawały przytłumione monotonią.

„Na pełnym morzu” to jeden ze spektakli, które z pewnością mogę uznać za udane. Z pomocą

lekkiej formy przedstawione zostały ważne wartości, z których każdy z nas powinien zdawać sobie sprawę.

Ławeczka

{ Bo potrzeba miłości jest silniejsza od rozsądku

Wiktor Marczyk

Miłość oraz wszystko, co się z nią wiąże i na nią składa, jest trudnym zagadnieniem, nie tylko dla zespołów teatralnych. Podjęcie tego tematu dwukrotnie zwiększa szansę klapy. Jednak trzyosobowa grupa, złożona z Marty Parzychowskiej, Jakuba Rawickiego oraz Marcina Zbyszynskiego, przedstawiła wszystko w zgrabnej formie – nie przegadanej, nie przesadzonej, ujętej w odpowiednie ramy.

Historia przypadkowej znajomości dwojga ludzi może wydawać się banalna, ale zarówno aranżacja, jak i wykonanie sprawiły, że wszystko oglądało się raczej z przyjemnością. Poszczególne sceny, przeplecione muzycznymi wstawkami i radosnymi podrygami aktorów, w krótkich słowach pokazują kolejne etapy tego romansu – od pierwszego spotkania (które nie było początkiem miłości od pierwszego wejrzenia), poprzez pierwszy zawód, wybaczenie, kolejne kłamstwa, nie zamknięte rozdziały z przeszłości, aż do rozstania, które jednak nie oznacza końca. Całość, zakończona raczej pesymistycznym akcentem, pokazała, jak bardzo ludzie lubią żyć złudzeniami, jak wiele są w stanie zrobić, by mieć poczucie bezpieczeństwa i nadzieję na lepsze jutro.

Marta Parzychowska i Marcin Zbyszynski wykonali swoje zadanie bez zarzutu, choć silniejszą stroną

tego aktorskiego duetu była kobieta. Mimika twarzy i ekspresja uczuć były pełne wdzięku, podobnie ruch sceniczny i gestykulacja. Aktorzy mówili wyraźnie, pomimo uniesienia, które odgrywali.

Jednak nie ma beczki miodu bez łyżeczki dziegciu, a redaktorzy muszą ponarzekać, bo inaczej nie mogą spać. Przede wszystkim moją uwagę przykuły sceny, w których Ona biła Jego. Czy naprawdę nie można mu było dać w twarz? Jest mężczyzną, wytrzymałby. A tak Marta uderzyła się w dłoń, zasłaniając to mniej zręcznie, niżli by chciała. Nie wygamam, żeby kopała Marcina z całych sił w krocze (i tak trafiła w udo, co dało się zauważyć), ale jeden cios mógłby on na siebie przyjąć. Scenografia i aktorzy byli ustawieni zbyt blisko krańca sceny i spoty nie oświetlały ich twarzy (nie wspominając o sytuacjach, gdy siadali na schodach przed sceną), dodatkowo mówili za cicho i musiałem się mocno wysilać, żeby coś słyszeć (może to kwestia siedzenia pośrodku widowni, gdzie nie ma głośników). Z drugiej strony świetnie przebił się dźwięk zapinanego suwaka u kurtki. Paradoksalnie Marcina najlepiej słyszałem wtedy, gdy stał tyłem do mnie i był poza sceną, a więc nie pomagały mu mikrofony. Niedociągnięcie aktorów czy techników? Niech zainteresowani odpowiedzą sami.

Zastanawiam się, czy elementy muzyczne, prowadzące do cyklicznego rozluźnienia, były naprawdę potrzebne. Wydaje mi się, że można by się było obyć bez nich, a już na pewno bez tańca, który nic nie wnosił do całości, chyba tylko to, że widz miał na czym (czy też na kim) zawiesić oko. Trochę niepotrzebnie rozluźniało to atmosferę, która w trakcie przedstawienia bardzo dobrze balansowała pomiędzy powagą a jej kompletnym brakiem, dzięki czemu otrzymaliśmy spektakl - nie będę się silił na elokwentne i niepotrzebne słowa - ciekawy.

Jednak te drobne uchybienia nie wpłynęły w znaczącym stopniu na odbiór całości. Dla dobrego przedstawienia widz może przemilczeć pewne problemy aktorów i w spokoju cieszyć się ze śledzenia akcji. Byłem szczerze zainteresowany tym, co działo się na scenie, Marta i Marcin skutecznie przykuły moją uwagę i sprawili, że z przyjemnością (ale nie bez momentu refleksji) spędziłem w ich towarzystwie dwadzieścia minut.

Sęk

{ „Jest interes do zrobienia”, czyli biznes w krzywym zwierciadle

Joanna Kaliszewska

Spektakl pod tytułem „Sęk” w reżyserii Arka Kuleszy to jeden z wielu, które mogliśmy obejrzeć podczas XV Festiwalu Teatralnego na deskach Kochanowskiego. Krótka, zwięzła komedia, niekoniecznie na temat, a do tego zabawna i stawiająca biznesmenów w nieco innym świetle – tak można opisać ją w kilku słowach.

Na aprobatę zasługuje treść skeczu, która zdecydowanie przypadła mi do gustu. Parodia życia codziennego ze szczyptą absurdu to często przepis na naprawdę udany humor. Nie pojawiły się tutaj oklepne już tematy takie jak polityka, miłość czy ostatnio często powtarzany poimprezowy kac. Gra akto-

rów także zasługuje na pochwałę – mimika oraz ton głosu, jakie obrali aktorzy efektownie podkreślały groteskowość przedstawienia.

Niestety, trudno zachwalać coś, co zachwalano już pod innym adresem. Kabaret Dudek, którego autorstwa jest ten skecz, to niezaprzeczalnie jeden z klasyków polskiej sceny komediowej. Uważam, że wyjście na scenę i odegranie tej samej, dziesięciominutowej historyjki, posługując się identyczną (czyli praktycznie żadną) scenografią, dokładne naśladowanie mimiki oryginalnego aktora, a także jego sposobu wystawiania się, to żadna sztuka. Mimo iż skecz bawił, nie miał żadnej wartości artystycznej, którą tak

cenimy. Zabrakło tu oryginalności i świeżości. Nie można mu jednak odmówić jednego – był faktycznie prostym, przyjemnym przerywnikiem dla nieco bardziej złożonych, psychologicznych przedstawień, które niekiedy wymagały głębszej interpretacji.

Takich odstępstw od poważnej sztuki jak „Sęk” nie powinno nigdy zabraknąć, gdyż to właśnie one pomagają nam się odprężyć i odechnąć. Jednak uwierzmy w siebie i stwórzmy coś własnego. Kto wie, może to właśnie nasz autorski pomysł okaże się strzałem w dziesiątkę?

Guliwer

{ Przygody małego Guliwera we własnej głowie

Tomek Nowakowski

Szaleństwo to temat oklepny na Festiwalu. Wałkowały go chyba wszystkie pokolenia Kochanowskiego, najwyższy więc czas na Naszych Milusińskich Pierwszaków! Klasa 1F przeżyła swój chrzest bojowy – „Guliwer” Daniela Beszłaga to sztuka o... Tak! Zgadliście! To sztuka o szaleństwie!

Każde małe dziecko zna Guliwera – wielkoluda w krainie liliputów (no, może dzisiaj popularniejszą postacią wśród młodzieży jest Ronald McDonald, ale każde małe dziecko przynajmniej POWINNO znać Guliwera). Niewiele jednak

osób pamięta, że Guliwer następnie dostał się do krainy olbrzymów, a to na kanwie właśnie tego pomysłu oparta została sztuka.

Zaczyna się niewinnie - ojciec bawi się z córkami w ciuciubabkę, przy czym dziewczynki postanawiają zrobić mu dowcip i zostawiają go samego z zasłoniętymi oczami. Coś się jednak w głowie biednego Guliwera (tak, o dziwo, nazywa się główny bohater) przestawia i zaczyna on wierzyć, że znalazł się w krainie okrutnych olbrzymów. Wrażenie chaosu pogłębia pojawiający się co jakiś czas błazen ze swoim opę-

tańczym śmiechem. Spodobało mi się również przedstawienie większości postaci jako konkretnych ludzkich przywar takich jak chciwość, okrucieństwo czy bezduszość i niewrażliwość na ludzką krzywdę.

Ciekawym zabiegiem było operowanie oświetleniem, jako odzwierciedleniem stanu psychicznym bohatera. W czasie krótkich przebiegów “zdrowej” świadomości światło stawało się normalne, natomiast podczas popadania w obłąd panowała na scenie żółwoga czerwień. Scenografii brak, natomiast kostiumy niektórych postaci (błazna, króla

czy kupca) sprawiały całkiem pozytywne wrażenie.

Nie mogę też wiele zarzucić aktorstwu. Odtwórca głównej roli, Daniel Beszlag pokazał się od bardzo dobrej strony, reszta zagrała co najmniej przyzwoicie. Warto jesz-

cze wymienić wyróżniających się na plus kupca, króla i jego córeczkę. Czyżby nadchodziła ofensywa aktorska pierwszoklasistów?

Sztuka bardzo zgrabna. Pokusiłbym się nawet o stwierdzenie, że była to jedna z najlepszych, jeśli

nie najlepsza, „mała” sztuka (wszak trwała niecałe 20 minut) jaką dane mi było dotychczas oglądać.

Sztuka

{ Biały Kwadrat w Białe Paski

Piotr Łaziuk

O gustach się nie dyskutuje i kropka. Z tym ocierającym się o dogmat stwierdzeniem polemikę podjęła Ola Gajewska z klasy 2A, reżyser przedstawienia o swojsko brzmiącym tytule „Sztuka”. Biorąc na swój warsztat dzieło francuskiej dramatopisarki, Yasmine Rezy, wielokrotnie nagradzane przez moźnych światowego teatru, nie ograniczyła się do kolejnej, typowo odtwórczej adaptacji. Odrzuciła koncepcję wnikliwej analizy męskiej przyjaźni, skupiając się na podobnym wątku w damskim wydaniu.

Na pozór idylliczna, w rzeczywistości opierająca się w dużej mierze na rutynie i przyzwyczajeniu, zostaje ona wystawiona na ciężką próbę. Zarzewiem konfliktu staje się biały obraz w białe pasy, a cała akcja dramatu odnosi się do tak przecież zróżnicowanego stosunku do sztuki współczesnej. Wszystkie trzy kobiety zauważają w końcu, że idealizowane przyjaciółki mają masę wad. Dopiero pojawienie się przekłętogo dzieła autorstwa niejakiego Antriosa uzmysłowiło im, jak cienka jest granica między przyjaźnią, a wrogością, zdały sobie sprawy z ogromnych różnic, przełęcz, które dzielią ich osobowości.

Sama oprawa „Sztuki” w żaden sposób nie raziła, aczkolwiek jej poziom za nic w świecie nie może uchodzić za powód do wychwalania

dzieła pod niebiosa. Godna zauważenia jest przekonująca rola Wiktorii, która w wiarygodny sposób oddała mnogość dylematów, jakim musiała stawić czoła ta postać, poczawszy od skrywanej zazdrości i pogardy, aż do finalnego zamaskowania swych uprzedzeń co do nowoczesnej sztuki i feralnego białego kwadratu. Pozostałym dwóm aktorkom zabrakło przysłowiowego błysku. Jedynymi kwestiami, które zachęciły widownię do okazania jakiegokolwiek reakcji, było nad wyraz wulgarnie określenie negatywnego stosunku Konstancji do dzieła Antrosa, czy zabawne zakłopotanie Róży, która rażąco nieznamość sztuki próbowała zamaskować ciągłym przytakiwaniem na sugestie Konstancji.

Widać gołym okiem, że dzieło Yasmine Rezy, prócz swej tradycyjnej, męskiej oprawy, utraciło nieco z głębi swego przekazu. Infantylność i pobieżne potraktowanie tematu w niektórych scenach raziły, w innych nadawały swoistego charakteru, budzącego nieodparte skojarzenia z programem publicystycznym, w którym prowadzące tłumaczą nam jak chłop krowie w rowie, czym jest prawdziwa sztuka i prowadzą nas przez meandry ludzkiej przyjaźni.

Ciężko jednoznacznie zaklasyfikować ten spektakl – momentami bawił, momentami zmuszał do chwilowej refleksji. To jednak zde-

cydowanie za mało, by zaspokoić gusta wybrednej, kochanowskiej publiczności, czy też podbić serca członków Jury. Biorąc pod uwagę zaskakująco wysoki poziom sztuk, wystawianych pierwszego dnia jubileuszowego, XV FT, trudno oczekiwać, by dzieło Oli Gajewskiej i jej towarzyszek zapadło w pamięć festiwalowej publiczności. Na pocieszenie należy dodać, że mimo tych dość istotnych wad, spektakl nie męczył swą formą, twórcom udało się uniknąć niepożądanych dłużyzn, a każda ze scen wносиła co nieco do ogólnej wymowy dzieła. Należy pochwalić również chęć autorki przedstawienia do wprowadzania na kochanowską scenę uznanych dzieł współczesnych bogów teatru, praktycznie nieznanymi szerszej publiczności, ograniczającej swą teatralną świadomość zazwyczaj tylko do klasycznych dzieł. Na szczęście w tym wypadku do jakiegokolwiek zbezczeszczenia nie doszło, a autorka nie musi wstydzic się za twórców.

Istna diaboliada

{ Do swidania, Maskwa!

Grzegorz Kaczmarczyk

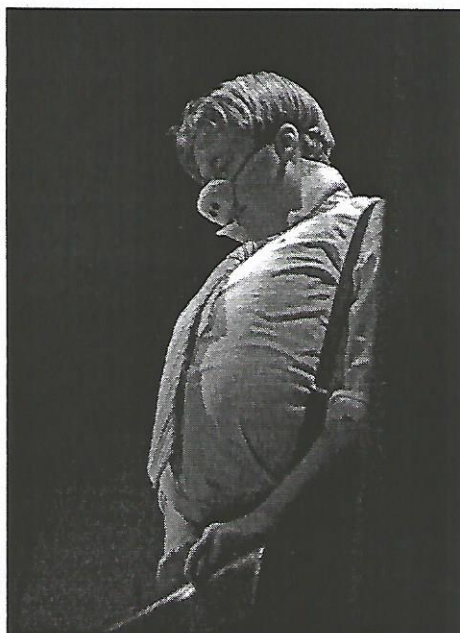
Fragmety „Mistrza i Małgorzaty” Michała Bułhakowa przeniesione na deski kochanowskiego teatru przez uczniów klasy 2F pomogły utrzymać wysoki poziom piątkowych sztuk. Było tak, jak powinno być – obejrzelśmy coś z klasyki w solidnym wykonaniu.

Generalnie trudno spartańczyć sztukę, która opiera się na tak ciekawej powieści. Tym, którzy jej jeszcze nie przeczytali, gorąco polecam lekturę. „Istna diaboliada” bazowała przede wszystkim na scenach balu u Wolanda, a także na przygotowaniach do niego. Reżyserzy – Monika Kachniarz i Marcin Pietrowski - dodali do tego rozmowę Wolanda z bufetowym teatru Varietes, Andriejem Fokiczem, scenę pokazu magii w Varietes, a także pożegnanie Korowiowa i Behemota z Moskwą. Zastanawiałem się, czy z tych fragmentów, wyjętych przecież z całości, jaką stanowi „Mistrz i Małgorzata”, rzeczywiście można stworzyć interesującą sztukę. Szybko okazało się, że moje obawy były bezpodstawne. Przed obejrzeniem spektaklu sięgnąłem po oryginał i muszę przyznać, że reżyserom i aktorom udało się dość trafnie odtworzyć prozę Bułhakowa. Trochę skąpo wypadły dekoracje, ale Woland wydawał bal w piątym wymiarze, więc w gruncie rzeczy diabli wiedzą, jak należałoby to ukazać. Wadziło też nagromadzenie niekoniecznie potrzebnych postaci na kilku planach - przykładowo wiedźma Hella stała przez większą część przedstawienia z tyłu sceny. Równie dobrze mogłaby wychodzić tylko po to, by wygłosić swoje kwestie. Muszę jednak przyznać, że „Istnej diaboliadzie” udało się roz-

śmieszyć publiczność. Dwa razy przeszedł po sali wymowny szmer. Pierwszy, gdy Asasello powiedział Małgorzacie, by naga wtarła w siebie magiczny krem. Drugi po przedstawieniu Helli, która potrafi we wszystkim dogodzić. Czyżby każdemu przemknęło przez myśl to samo...?

Wysoko postawiona przez scenariusz poprzeczka stanowiła wyzwanie dla aktorów. Ci sprostali zadaniu, choć - jako że w przyrodzie wszystko wychodzi na zero – niektórzy bardziej, niektórzy mniej. Konstancja Gierba nie wykorzystała do końca możliwości, jakie stwarzała jej rola Małgorzaty. Było troszkę za sztywno. Podobnie z Wolandem (Alan Zejer) - nie miał tego błysku w oku, którym obdarował go Bułhakow. Wyczuwalne było też podenerwowanie Michała Pawlika w roli Korowiowa – zdarzyły mu się drobne przejęzyczenia, które nie umkną uchu złośliwego recenzenta, poza tym potraktował swoją postać zbyt poważnie. Ciężko odnieść się do Fokicza, granego przez Aleksandra Sosińskiego. Jedno muszę mu oddać – rozbawił publiczność, ale przerysował rolę do granic możliwości. Słyszałem również głosy w stylu „wykapany Pshemko z BrzydUli”. Nie wiem, nie oglądałem.

Żeby nie było – czas na wyróżnienia. Paweł Przytuła sprawdził się w roli Asasella. Poświęcił swoje struny głosowe, ale warto było, bo gardłowym tonem wzbogacił kreację postaci. Śmiech wśród widzów wywoływał również Mikołaj Iwanowicz, grany przez Mateusza Bocheńczaka - znakomity pro-



siak. Wielkie brawa należą się jednak przede wszystkim pani reżyser, Monice Kachniarz, za brawurową rolę kota Behemota. Można zaryzykować stwierdzenie, że przyćmiła wszystkich pozostałych aktorów „Istnej diaboliady” zarówno zaangażowaniem czy energią, jak i samą grą pełną aktorskiej pasji i umiejętności. Troszkę łyżki dziegciu do beczki miodu – jej postać za bardzo kontrastowała ze sztywnym Korowiowem, niemniej jednak powinna zapaść w pamięć jurorom.

Podsumowując, „Istna diaboliada” nie rozczarowała. Wręcz przeciwnie, udało jej się pozyskać serca większości widzów. Jaka w tym zasługa scenariusza opartego na znakomitej powieści, a jaka gry aktorów, diabli wiedzą. Jedno jest pewne - fuzja obu tych elementów zaowocowała udanym spektaklem, który pozwala sądzić, że za rok 3F znów zaskoczy in plus.

Arszenik i stare koronki

{ Teatr przez duże T

Piotr Łaziuk

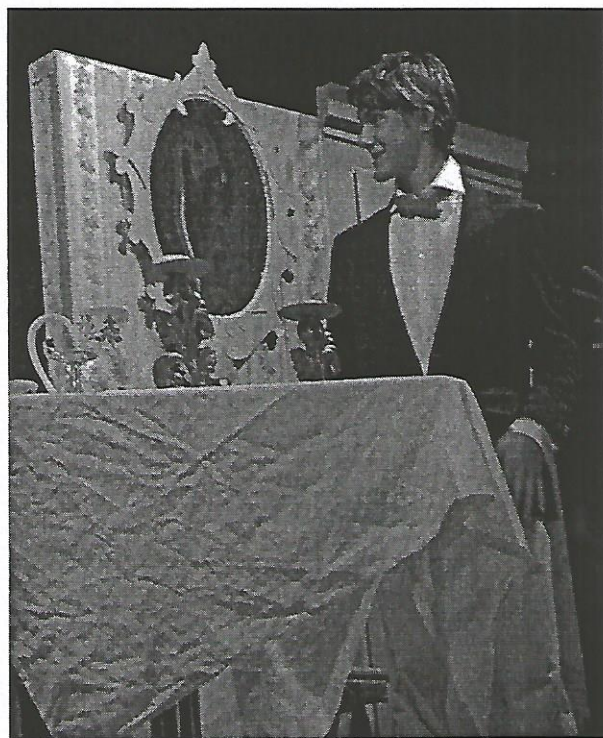
Próba zmierzenia się z dziełem niemalże idealnym, wystawianym na legendarnym Broadwayu, stanowiącym podstawę wiekopomnego sukcesu Franka Capry z lat 40-tych XX w., jest nie lada wyzwaniem. Pałętające się po szkolnych korytarzach strzępki plotek, już przed premierą stawiały dzieło Wiktora Bojanowskiego i Eweliny Szczuki na piedestale najlepszych sztuk. Profesjonalne, wymyślne plakaty, pokrywające cały budynek liceum świadczyły o ogromnej pewności siebie twórców. Postawili oni wszystko na jedną kartę: albo ich pokochamy, albo wyszydzą. Pokochamy, gdyż „Arszenik i stare koronki” to sztuka w iście broadwayowskim stylu.

Atmosfera napięcia była odczuwalna na widowni już podczas zapowiedzi sztuki, publiczność w mig wyczuła, że będziemy mieć do czynienia z Teatrem przez duże T. Główny bohater spektaklu, Mortimer Brewster, wzięty krytyk teatralny, przygotowując się do zaślubin z Elaine Harper, córką miejscowego pastora, został wpłątany w intrygę, której oś stanowiły jego dwie ciotki. Jako że od zawsze uważał je za nieskalanie czyste, próbuje on ukryć przed światem zewnętrznym fakt, że ich niecodziennym hobby było wysyłanie starszych panów na tamten świat za pomocą wina z czarnego bzu, okraszonego domieszką tytułowego arszeniku, cyjanku i strychniny.

Zdecydowana większość elementów teatralnego rzemiosła ocierała się o profesjonalizm. Secesyjne dekoracje w pastelowych barwach były jakby żywcem wzięte z jednego

ze znanych warszawskich teatrów. Tym większe uznanie budzi fakt, że za ich przygotowanie odpowiadała tylko jedna osoba. Nastrojowe, klasyczne dźwięki, przeplatane się ze znanymi muzycznymi motywami w harmonijny sposób współgrały z ruchem scenicznym i grą aktorów, która momentami ocierała się o geniusz. Nieco przerysowana postać Mortimera, dandysa z czerwoną muchą, pasowała idealnie do groteskowej konwencji i pozorowanego chaosu, jaki panował na scenie. Pozornego, gdyż każdy ruch, każdy gest, każde słowo było starannie zaplanowane i stanowiło ważny element niemalże idealnej całości.

Mortimerowi dzielnie wtórowała jego narzeczona, świetnie operująca mimiką, udająca ciągłe zdziwienie zmieniającą się jak w kalejdoskopie sytuacją. Sposób wysławiania się, a także współgrania obu ciotek był swoistym majstersztykiem, absurdalność ich postawy, wynikająca w prosty sposób ze scenariusza, została jeszcze spotęgowana, dając piorunujący i komiczny efekt. Jak śmiały zamiatać trupy pod dywan?! Dulszczyzna, filisterstwo i kołtuństwo w jednym. W pamięć zapada również postać Jonathana i jego nieodłącznego przybocznego, doktora



Einsteina. Szaleńczy wrzask i służalczy, zapijaczony ton bohaterów uzupełniały się perfekcyjnie.

Czarna komedia, za jaką niewątpliwie może uchodzić „Arszenik i stare koronki”, wymaga od widza specyficznego poczucia humoru. Jeśli ktoś nie uśmiechał się przy metaforycznym odniesieniu pogrzebów 12 starszych panów do panamskich wojaży Teddy’ego, to powinien odpuścić sobie zgłębianie tego gatunku. Skalę maestrii owej sztuki najlepiej obrazuje fakt, iż wnikliwi obserwatorzy mogli zauważyć uśmiech, błaskający się po twarzy profesora Szarowskiego. Dla twórców sztuki to zapewne najlepsza nagroda, choć są już tacy, którzy stawiają ją w gronie kandydatów do tegorocznego Grand Prix. Pożyjemy, zobaczymy.

Muzeum żywych ludzi

{ Zmusza do myślenia

Paweł Przytuła

Zawsze ciekawie jest zobaczyć na Festiwalu Teatralnym sztukę zupełnie nową, autorską. Taką, której scenariusz powstał w umyśle któregoś z uczniów (lub uczennic) naszego LO, nie opartą na jakimkolwiek istniejącym już dziele literackim. Efekty, jak wiadomo, bywają różne, ale twórcy takich spektakli mają, z oczywistych powodów, dużo większą swobodę twórczą, niż ci wystawiający adaptacje. Taką właśnie niezależną sztuką jest „Muzeum Żywych Ludzi” w reżyserii Agnieszki Zubczyńskiej, która sama napisała scenariusz przedstawienia. I to scenariusz, trzeba powiedzieć, dojrzały, ciężki i przygnębiający. Zdecydowanie nie jest to sztuka, która spodoba się wszystkim. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Spektakl przenosi nas do mrocznego, dusznego świata, gdzie życie ludzkie to scenariusz filmowy, nad którym absolutną władzę ma złowrogi, cyniczny i liczący się tylko z oglądalnością powstającego „filmu” Reżyser. To on tworzy nowe wątki, zamyka stare, decyduje, co dana osoba ma robić i kiedy ma to robić, czy spotka ją szczęście, czy tragedia. I mimo, że ludzie nie są ubezwłasnowolnieni, mogą wybrać, czy ślepo wykonywać jego polecenia, czy też spróbować się wyłamać, to jednak wszyscy kurczowo trzymają się scenariusza, jak brutalny czy tragiczny by on nie był. Główna bohaterka, Karin, to zwyczajna dziewczyna, której kolejne role narzuca demoniczny Reżyser. Kiedy jednak ten nakazuje jej zerwać ze swoim chłopakiem, z którym jest

szczęśliwa, Karin buntuje się i stara zanegować polecenia Reżysera. „Muzeum żywych ludzi” to zatem historia buntu jednostki, bezsilnej i bezbronnej w beznadziejnej walce z systemem, w której jest, rzecz



jasna, całkowicie osamotniona. Całość jest utrzymana w nieco psychodelicznej, przesiąkniętej cynicznym humorem tonacji.

Gra aktorska stała na dobrym poziomie. Świetnie wypada Wioletta Perzyk w roli Karin, zagubionej, sfrustrowanej swoją bezsilnością dziewczyny, poszukującej prawdziwych uczuć w marionetkowym świecie. Budziła autentyczną sympatię i współczucie widza. Antagonistką dla niej była postać Reżysera (w tej roli sama autorka przedstawienia, Agnieszka Zubczyńska), zagrana

niezwykle ekspresyjnie. I mimo tego, że z jej ogromną energią nie zawsze szła w parze odpowiednia mimika, a parę kwestii mówionych wypadło niewyraźnie, nadal bardzo dobrze oddała cynizm, sarkazm i wypranie z ludzkich uczuć swojej postaci. Udało jej się sprawić, że autentycznie zniechęciłem Reżysera – ba, chciałbym, żeby ten sukinyś zginął śmiercią powolną i bolesną. W jego dialogach najczęściej pojawiają się elementy humorystyczne. Nie służą one jednak rozładowaniu ciężkiej atmosfery sztuki, jest to zwykłe czarny humor.

Pozostali aktorzy również wypadli dobrze. Czasem jakieś pojedyncze słowo trudno było zrozumieć, co jednak nie przeszkadzało zbyt mocno i można to uznać, mówiąc poetycko, za ofiarę z dykcji na rzecz ekspresji, złożoną na ołtarzu zepsutego nagłośnienia, które przecież odmówiło współpracy jeszcze na długo przed spektaklem i utrudniało życie wszystkim.

Może nic tu szczególnie nie zachwyca, ale wszyscy poprawnie wywiązali się ze swoich zadań.

Pozytywne wrażenie pozostawiają aktorzy grający niewielkie role, zwłaszcza Piotr Matuszewski jako Joachim oraz Magda Sikora jako Urzędniczka. Pomyłek czy zacięć w dialogach nie uświadczylem (poza dwiema tak drobnymi, że aż niewartymi wzmianki). Inna sprawa, że niektóre sceny miały odczuwalne dłużyzny i stawały się nużące, a chyba można było tego uniknąć, bo przedstawienie nie należy do krótkich

(przynajmniej według standardów FT), trwało aż osiemdziesiąt siedem minut. Przyczepię się i powiem, że można było trochę pobawić się nożyczkami. Za dużo czasu zajmowały też same przejścia pomiędzy scenami – kilkukrotnie można było przez dobre czterdzieści pięć sekund obserwować, jak aktorzy krzątają się po scenie przy wygaszonych światłach i zmieniają dekoracje.

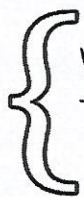
Właśnie, scenografia. Była oszczędna, acz estetyczna. Widać było dbałość o detale, która objawiała się też w strojach postaci. Poza tym siła tej sztuki ewidentnie leży w treści i ekspresyjnym przekazie, nie w dekoracjach, więc nie przeszkadza brak fajerwerków wizual-

nych. Zresztą, zamiast nich były bardzo przyjemne elementy audio. Urzekło mnie, widoczne zwłaszcza w pierwszej scenie, świetne zgranie tła muzycznego z ruchem scenicznym.

Na pewno nie jest to sztuka łatwa w odbiorze. Zadaje ona bardzo trudne pytania, między innymi o to, czy istnieje coś takiego jak wolność osobista. W dodatku nie udziela jednoznacznych odpowiedzi. Potrafi zaniepokoić (nagły opętaniecy ni to wrzask, ni to pisk Reżysera, połamane palce Karin, cała psychodela świata przedstawionego), a także skłonić do refleksji. Fatalnie się złożyło, że tak ciężki spektakl wystawiany był jako ostatni, o 21:00,

kiedy publiczność była już zmęczona. Wybrana tematyka, mroczna wizja Reżysera, brak standardowego szczęśliwego zakończenia, w miejsce którego dostajemy naprawdę mocną (acz trochę przewidywalną, co jednak wcale jej mocy nie odbiera) scenę końcową, wreszcie sama długość przedstawienia raczej nie wpłynęły pozytywnie na jego przyjęcie. A szkoda, bo „Muzeum Żywych Ludzi” to kawał dobrej, choć naturalnie niepozbawionej wad (dłużyzny!), dojrzałej sztuki. Agnieszce Zubczyńskiej i całemu zespołowi aktor-skiemu należą się naprawdę wielkie, wielkie brawa za ambitny pomysł i jego konsekwentną, solidną realizację.

„Zróbmy festiwal teatralny!”



Wywiad z Maciejem Chmielem, pomysłodawcą Festiwalu Teatralnego i twórcą trzech pierwszych edycji imprezy

Emil Hoff

Emil Hoff: Jak wpadłeś na pomysł zorganizowania w Kochanowskim Festiwalu Teatralnego? Czy to prawda, że zainspirował cię podobny festiwal w XXVII LO im. Tadeusza Czackiego?

Maciej Chmiel: Tak, to prawda. Po prostu pewnego dnia zobaczyłem tę imprezę u nich i pomyślałem: „Kurczę, czemu nie zrobić czegoś podobnego u nas?”. Oczywiście nie kopiowaliśmy ich festiwalu. Nasz FT poszedł swoją własną ścieżką. Miałem sporadyczne kontakty z uczniami Czackiego, raz zaprosiłem ich do Kochanowskiego, innym razem oni pożyczili nam kurtynę – współpracowaliśmy, ale tworzyliśmy dwie różne imprezy.

E.H.: Miałeś wcześniej styczność z teatrem amatorskim albo organizacją podobnych imprez?

M.C.: Nie, z Festiwalem pozostaliśmy na żywiol. Udało się, bo miałem naprawdę fajną klasę. Uczylem się z ludźmi, którzy potrafili podchwycić i zrealizować niemal każdy interesujący pomysł i byli chętni do działania.

W zasadzie ja tylko rzuciłem hasło: „Słuchajcie, zróbmy festiwal teatralny” - i ludzie sami się do mnie zgłosili. Oczywiście, część musiałem przeblagać, część przymusić, ale generalnie spotkałem się z entuzjazmem i chęcią współpracy. Gdyby nie oni - ludzie, którzy wtedy uczyli się ze mną w Kochanowskim, żaden festiwal nie powstałby; mógłbym sobie co najwyżej pobiegać i popróbować coś załatwić bez skutku.

Ten pierwszy Festiwal organizowała tak naprawdę tylko moja klasa (z drobnymi wyjątkami) – byłem

wtedy w drugiej klasie (liceum było czteroletnie). Miałem ze strony kolegów i koleżanek bardzo duże wsparcie. Dopiero z czasem ludzi zaczęło przybywać, w organizację Festiwalu angażowało się coraz więcej osób – zarówno młodsze, jak i starsze roczniki. Ten pierwszy Festiwal zorganizowaliśmy w marcu, drugi był na jesieni, także pracy nie brakowało.

Paulina Urbańska: Czy to od drugiej edycji przyjęło się organizować Festiwal Teatralny w listopadzie?

M.C.: Tak, wydaje mi się, że wszystkie następne odbyły się na jesieni – z tego co wiem również te, których nie widziałem.

E.H.: Powiedz, jak wyglądały przygotowania do pierwszej edycji FT?

M.C.: Sporo biegania, załatwia-

nia i zaklinania [śmiech]. Jak wspominałem, kurtynę pożyczaliśmy właśnie od Czackiego. Zresztą - z kurtyną to były prawdziwe mistrzostwa świata. Na potrzeby pierwszego Festiwalu owszem, pożyczaliśmy ją, ale na drugi musieliśmy sami uszyć sobie szykowną kotarę. Wypożyczyliśmy więc maszynę do szycia z pobliskiego przedszkola. Mieliśmy też problem z materiałem - dzięki wsparciu pań z sekretariatu zdobyliśmy surowiec ze szkolnego magazynu: były to niewymiarowe kawałki bladobłękitnej materii, przeznaczone - domniemywam - na szmaty do podłóg, ale jeszcze niewykorzystane. Było tego dokładnie tyle, ile potrzebowaliśmy, dosłownie na styk. Zszyliśmy te kawałki w pasy, potem te pasy w większe połacie i oto mieliśmy już pierwszy, własny element Kochanowskiego teatru. Potem były jeszcze problemy z mechaniką; kurtyna się zaciniała, albo podnosiła z jednej strony, a z drugiej nie chciała... Mieliśmy z tym jednocześnie mnóstwo udręki i zabawę.

E.H.: Teraz kurtyna jest czerwona. Co się stało z niebieską?

M.C.: Najprawdopodobniej zjadły ją myszy, bo trzymaliśmy ją za długo w magazynie, albo zgnięła od wilgoci - teraz już nie jestem pewien. W każdym razie, okazało się, że w trakcie organizowania trzeciego FT problem kurtyny powrócił. O ile pamiętam, w zdobywaniu materiału na kolejną kurtynę maczała palce moja mama. W przedszkolu, gdy znowu do nich zapukałem, już wiedzieli, że to po maszynę [śmiech]. Chyba do końca życia będę pamiętał te płachty materiału rozłożone w sali gimnastycznej, kolegów pilnujących, by nikt po nich nie chodził, koleżanki, które z kolei pilnowały, byśmy równo szyli... tak, znowu robiłem za szwaczkę, nie sam, ale odkryłem w sobie wtedy nowe talenty [śmiech]. Pamiętam, że mieliśmy znowu sporo problemów z mechaniką kurtyny,

trzeba było zrobić odpowiedni mechanizm podnoszący - konstruowaliśmy więc kołowroty ze szpuli od kabli, jakieś bloczki metalowe, musieliśmy sobie radzić. A kolor miała... no, nazwijmy to: kawowy.

Za to czwarty - czy piąty - Festiwal to był kurtynowy przełom: przychodzę, patrzę - „Wow! Dyrektor kupił kurtynę!”. Wisiała na takiej szynie do verticali, suwana, piękna, ja cię przeproszam [śmiech].

P.U.: Dlaczego dyrektor nie zgodził się od razu na zakup kurtyny?

M.C.: Wiesz, ona swoje pewnie kosztowała. Nawet go nie prosiłem. Na któryś Festiwal zdobyliśmy wprawdzie pieniądze z funduszu rodziców - było tego całe pięćset złotych i wykorzystaliśmy je na zrobienie koszulek z logo Festiwalu - ale generalnie zaczynaliśmy z zerowym budżetem, maszyny i światła pożyczaliśmy z Teatru Rozmaitości za dobre słowo. Wspierali nas rodzice zaangażowanych uczniów. Zdziwiłbym się, gdyby dyrektor Kunicki przyjął wtedy ucznia Chmiela, mającego jakieś szesnaście lat, i na hasło „Panie dyrektorze, zróbmy festiwal” powiedział „Dobra, masz tu dwa tysiące, kup kurtynę!”.

P.U.: Czy od razu sprowadziliście gości z innych szkół?

M.C.: Nie, na pierwszych dwóch Festiwalach wystawiali sztuki tylko uczniowie Kochanowskiego. Mieliśmy raz gości z Czackiego, którzy wystąpili poza konkursem, ale dopiero Karolina Pawelec, która przejęła po mnie Festiwal, otworzyła imprezę na inne szkoły i środowiska. Pierwotnie konkurs był przeznaczony dla uczniów naszej szkoły, sztuki wystawialiśmy klasami. Oczywiście nikt nie wyganiał Jasia Kowalskiego, który nie był uczniem Kochanowskiego, ale akurat grał gościnnie w jakimś przedstawieniu. Zasada była jednak taka, że każde przedstawienie było firmowane przez jedną

z kochanowskich klas.

E.H.: Teraz wystawić sztukę i powalczyć o nagrody może praktycznie każdy.

M.C.: I super. Nigdy nie kładłem szczególnego nacisku na konkurs sztuk, moim celem nie było zorganizowanie zawodów, w których każdy mógł pokazać, że jest lepszy od innych. Zamyśl był taki, żeby ludzie mogli zaprezentować na scenie coś fajnego, oderwać się na kilka chwil od zwykłego szkolnego życia, zwrócić się w stronę innej formy szkolnej aktywności.

P.U.: Skąd mieliście pieniądze na nagrody?

M.C.: Wiadomo, były nagrody niematerialne - „uścisk dłoni ręki prezesa”, „uśmiech dyrektora odcisnięty w jaźni po wieki” czy jakiś dyplom do powieszenia na ścianie. Ale były też nagrody rzeczowe na poziomie możliwości festiwalowego budżetu i hojności sponsorów. Statuetki wprowadziła Karolina Pawelec.

Zawsze staraliśmy się szukać sponsorów. Pamiętam, że plakaty drukowało nam wydawnictwo Olgerbrandów, raz poszedłem na żywioł i zadzwoniłem do Coca-Coli - ktoś dał mi namiar do konkretnej osoby stamtąd. Przywieźli lodówkę i kilkaset puszek Coli, z zastrzeżeniem, że nie możemy ich sprzedawać, jedynie rozdawać. No to urządziliśmy promocję: sprzedawaliśmy sprite'y, fanty czy koszulki festiwalowe, a na zachętę dokładaliśmy gratis złotą puszkę Coli - w ten sposób zbieraliśmy pieniądze. Zgrzewka złotych puszek z Coca-Colą była też dodatkiem do każdej nagrody.

Były też bilety wstępu na Festiwal - początkowo bodajże po dwa złote - i karnety na trzy dni - chyba po pięć. Sprzedawaliśmy je głównie po to, by zorientować się, jakie jest zainteresowanie imprezą, ile osób przyjdzie. Trzeciego dnia pierwszego FT zabrakło nam biletów, co świadczy o

dużej – wbrew obawom wszystkich - frekwencji.

P.U.: Czy podział na Sekcje istniał od początku Festiwalu?

M.C.: Owszem, ale nie były one tak rozwinięte, jak teraz. Na ósmym Festiwalu w Sekcjach było chyba więcej ludzi, niż tych występujących na scenie. W każdym razie u zarania całego przedsięwzięcia było tak, że miałem dwójkę zastępców, Jarka i Olę. Ola była jednocześnie konferansjerką wraz z Bartkiem, rok starszym, autorem niezłego opowiadania o Festiwalu, które kiedyś opublikowaliśmy w gazecie festiwalowej. Gazeta oczywiście była, redagowałem ją wraz z dwoma kolegami z klasy i to oni nią rządzą. Kto jeszcze? Była druga Ola, która zajmowała się plakatami i - razem z Magdą - finansami; trzech panów tworzyło sekcję oświetleniową - z Kubą Gadowski na czele, bez którego nie dalibyśmy rady. Dźwiękiem zajmowało się dwóch panów, jeszcze dwie panie sprzedawały bilety, uczniowie z sekcji ochroniarskiej zajmowali się także sprzątnięciem sali, roznoszeniem krzeseł, itd. To był inny kaliber niż teraz. Dokładnie kalkulowaliśmy, ile - plus minus - osób będziemy potrzebowali przy organizacji imprezy i w ramach tej puli szukaliśmy chętnych do Sekcji.

P.U.: Jak wyglądała pierwsza gazeta festiwalowa? Wychodziła każdego dnia, tak jak teraz?

M.C.: Tak, gazeta wychodziła codziennie, każdy redaktor wiedział, którą sztukę recenzuje. To, co drukowaliśmy, nie było w zasadzie typowymi recenzjami teatralnymi - każdy tekst był raczej zapisem naszych wrażeń i złotych myśli. Wymyślaliśmy też rebusy, publikowaliśmy ogłoszenia. Staraliśmy się być dowcipni, nawet gdy faktycznie byliśmy zgryźliwi [śmiech]. W pierwszym numerze gazety był m.in. wywiad, który przeprowadziłem w zasadzie sam

ze sobą, a jego puentą - tylko to pamiętam z tej „autolustracji” - było zdementowanie plotki, jakoby kapał się z granatowym jelonkiem zamiast z żółtą kaczuszką.

Redakcja przez kilka pierwszych edycji Festiwalu - również po tym, jak ukończyłem liceum i Festiwal przejęli inni - funkcjonowała w gabinecie dyrektora Kunickiego, używaliśmy też jego komputera. Dopiero po zakończeniu drugiego Festiwalu zebraliśmy pewne fundusze i kupiliśmy własną drukarkę, którą komisyjnie przekazaliśmy dyrektorowi z zastrzeżeniem, że będziemy ją wykorzystywać na potrzeby imprezy. I tak było.

E.H.: No właśnie - jak prezentował się pierwszy Festiwal od strony sprzętu technicznego, w zamierzeniu roku 1996?

M.C.: Ja wiem, że jestem po trzydziestce, ale teraz poczułem się jak dziadek Maciuś [śmiech]. Byliśmy wtedy w zupełnie innej sytuacji, jeśli chodzi o technologię. Sor Sobieraj nie pozwalał dotykać swoich komputerów, których miał tylko kilkanaście - pracowaliśmy więc na komputerze dyrektora, no i używaliśmy wspomnianej drukarki. Pamiętam też, że mój rocznik pojawił się w liceum równoległe z Internetem i nowym krzykiem techniki - zewnętrznym modemem Zoltrixa, 7200 bitów na sekundę. Kiedy nauczyciel chciał go użyć, dzwonił do sekretariatu i prosił, by przez jakiś czas nikt nie podnosił słuchawki od telefonu. Taką mieliśmy wtedy technologię. Kosmiczna prędkość dostępu komutowanego to było to [śmiech].

Głównym problemem pierwszych edycji Festiwalu była łączność - nie mieliśmy przecież komórek. Na drugi Festiwal udało mi się pożyczyć cztery krótkofalówki z Pałacu Młodzieży. Jedną miałem ja, drugą chłopaki sprawdzający bilety przy wejściu do szkoły i obsługujący

dzwonek, trzecia była w rękach techników, a z czwartą Jarek siedział za kulisami i udostępniał ją m.in. reżyserom spektakli, aby zza kulis podpowiadali siedzącej w sali obsłudze technicznej - np. kiedy i jakie światła należy włączyć. Kilka takich krótkofalówek miała też chyba jakaś bliżej nieokreślona korporacja taksówkowa, bo na używanej przez nas częstotliwości sporadycznie odbieraliśmy urywki rozmów, jak na przykład prośbę, co by „67 podjechał od drugiej strony budynku”, a „koleżanka z centrali zadzwoniła do klienta, bo się spóźnia” [śmiech].

P.U.: Nawiązując do ochrony - czy pierwsze Festiwale przebiegały spokojnie, czy też zdarzało się, że sekcja ochroniarska była szczególnie potrzebna?

M.C.: Generalnie impreza zawsze przebiegała spokojnie, ale pamiętam taką sytuację, kiedy festiwalowi ochroniarze mieli twarde orzechy do zgryzienia. Zawołali mnie, zdenerwowani, przed szkołę, przychodzę, patrzę, a pod drzwiami stoi dwudziestu chłopów. Podszedł do mnie jeden z tych facetów i mówi: „Dragon jestem! Jeden z was wybił zęba mojemu siostrzeńcowi. Przyjechaliśmy wymierzyć sprawiedliwość”. Okazało się, że jeden z członków sekcji ochroniarskiej faktycznie stracił wcześniej tego dnia górą przednią jędynkę (potem szczęśliwie wstawioną przez chirurga) - ktoś mu ją wybił w czasie osiedlowej bójki, która nie miała nic wspólnego z Festiwalem. Pan Dragon był wujkiem tegoż ochroniarza i postanowił odszukać sprawcę jego nieszczęścia wśród gości Festiwalu. Zaprowadziłem więc troskliwego pana wujka do szkoły, pokazałem, że żadnej bijatyki u nas nie było i nikt z bywalców Festiwalu nie mógł wybić zęba jego nieszczęsnemu siostrzeńcowi. W końcu Dragon sobie poszedł, uwierzywszy w moje zapewnienia, ale cała sytuacja była cokolwiek nieco-

dzienna.

E.H.: Czy na pierwszym FT mieliście Sekcję Design?

M.C.: Pojawił się jej załączek na którymś z kolei Festiwalu, ale jej członkowie zajmowali się głównie projektowaniem plakatów i ulotek. Nie mieliśmy żadnych ludzi od charakteryzacji. Kostiumy i rekwizyty, dzięki pomocy drektora Kunickiego, udało się wypożyczyć z jednego z teatrów, które mają siedzibę w PKiN - jest ich kilka i nie pamiętam już, z którego. Wybraliśmy się tam gromadnie z reżyserami sztuk i buszowaliśmy po magazynach, przysparzając kolejnych siwych włosów przesympatycznej pani, która próbowała nas okiełznać [śmiech]. Po tej wizycie mieliśmy do dyspozycji radzieckie hełmy, karabiny, peruki, stroje z epoki, ekshibcjonistyczne prochowce, czy nawet gigantyczne stopy z gipsu – nie mogliśmy narzekać na brak teatralnego wyposażenia.

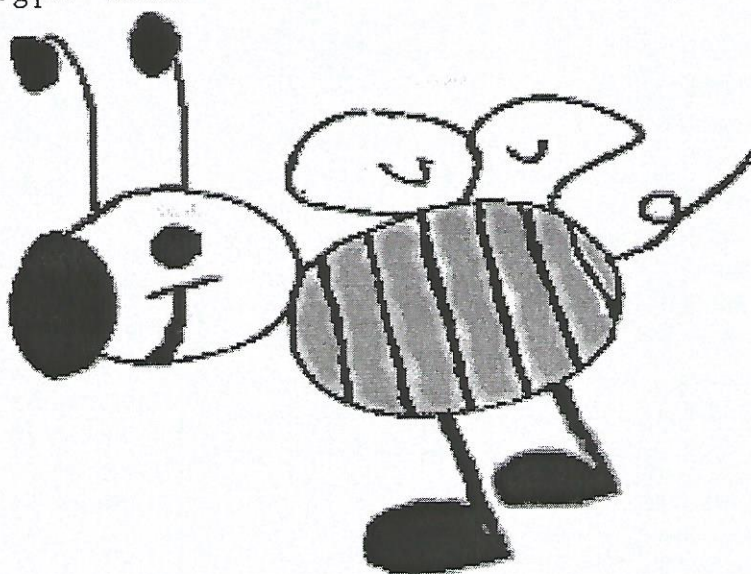
P.U.: Kiedy pojawiła się festiwalowa pszczołka?

M.C.: Pszczołka narodziła się na pierwszym Festiwalu, choć nie zdążyła wówczas stać się jego oficjalnym logo. Po pierwszym bodajże wieczorze festiwalowym przyszła do mnie Agnieszka Ożadowicz, wzięła kartkę i od niechcenia namalowała pszczołkę. Zapytałem, co to za stwór, a kiedy odparła, że pszczołka, już wiedziałem, że to właśnie będzie logo naszego Festiwalu. Miałem wtedy słabość do Agnieszki, więc nawet gdyby jedynym zwierzęciem, które umiała narysować, była – dajmy na to – żyrafa, to pewnie żyrafa zdobiłaby te-

raz plakaty, a nie pszczoła [śmiech]. Rysunek Agnieszki wzbudzał zresztą powszechną wesołość; niektórzy mówili, że to wcale nie pszczołka, tylko owca w dresie, z psim nosem i świńskim ogonem. Ten duży, okrągły nos pszczołka odziedziczyła po bohaterze ówczesnej dobranocki, psie z takim właśnie imponującym narządem wężu.

P.U.: Jaki był skład pierwszego festiwalowego Jury?

M.C.: Nie dam sobie głowy uciąć, to było piętnaście lat temu. Pamiętam, że Jurorami pierwszego Festiwalu było kilku nauczycieli, którzy mnie uczyli, których znałem. Potem staraliśmy się częściowo odejść od wariantu nauczycielskiego – w Jury pojawiła się na przykład Bożena Strykówna – bardziej znana jako Lamia z „Seksmisji”, jakby co [śmiech].



Nie ukrywam, że zapraszanie nauczycieli do grona Jurorów miało swój cel. Chciałem zaangażować grono pedagogiczne w Festiwal, bo spora jego część pozostawała bierna lub nawet była niechętna inicjatywie uczniów. Nie wiem, jak to wygląda teraz, ale kiedy Festiwal powstawał, tylko garstka pedagogów wyciągnęła do nas pomocną dłoń: na czele tej wąskiej grupy stał Jerzy Kunicki, o którym złego słowa nie mogę po-

wiedzieć – zawsze wspierał Festiwal duchowo i materialnie. Nie był może od razu hurra-optimistyczny (kto by był na jego miejscu?), ale robił dużo, żeby nam pomóc, choć przecież nie musiał robić nic. Szkoda, że nie zaangażowałem wcześniej w Festiwal profesora Szarowskiego. Zrobiła to dopiero Karolina Pawelec przy IV FT. Gdybym znał go lepiej - kiedy jeszcze byłem uczniem - postarałbym się z pewnością przekonać go do wzięcia udziału w naszej teatralnej imprezie.

E.H.: Jaki był repertuar pierwszego Festiwalu Teatralnego?

M.C.: Pamiętam, że z klaszki wystawiano „Indyka” Sławomira Mrożka. Były też „Sceny z życia smoków”. Z kolei inscenizacja „Ferdydurke” przeszła do potocznego języka jako synonim teatralnej miernoty. Mówiło się potem: „Ta sztuka była jakaś taka... ferdydurkowata”. Była też twórczość własna uczniów i swobodne adaptacje.

E.H.: Powiedz, jak społeczność szkolna zareagowała na pierwszy Festiwal?

M.C.: To było dla mnie pozytywne zaskoczenie. Ludzie zaczęli tłumie przychodzić, każdego dnia było ich więcej, pod koniec trzeciego nie mogli zmieścić się w sali gimnastycznej, jak już wspominałem – zabrakło nam biletów. Wtedy też prof. Bujak dał swój pierwszy pokaz – miał ogłosić wyniki konkursu, przebrał się za Cezara i odegrał scenkę, która spodobała się wszystkim. Może zrobił to na kolejnej imprezie, nie pamiętam w tej chwili, ale - tak czy siak - z czasem zaczęliśmy te krótkie spektakle nazywać „Booyack Show”. Przy jednym z nich, już jako absolwent, pomagałem profesorowi; nie pamię-

tam już, przy którym.

Muszę powiedzieć, że do tej pory to doświadczenie – sukces pierwszego Festiwalu – jest dla mnie bardzo budujące. Zaskoczyła i uradowała mnie postawa naprawdę licznej grupy uczniów, którzy znaleźli czas i chęci, by usiąść przy stole i napisać scenariusz własnej sztuki, a potem ją wystawić; także entuzjazm tych wszystkich ludzi na widowni.

E.H.: Jak długo po ukończeniu szkoły obserwowałaś rozwój Festiwalu?

M.C.: Byłem gościem czwartej edycji imprezy, przez sześć kolejnych udzielałem się jako członek Jury. Potem mój kontakt z Festiwalem zaczął słabnąć. Pamiętam, że gdzieś koło VIII czy IX FT byłem zawiedziony tym, jak zmieniła się cała impreza, pozwoliłem sobie nawet wyjść na scenę i skierować kilka cierpkich słów do uczestników i organizatorów. Byłem zdegustowany tym, co wy dzisiaj nazywacie „lansem” – Festiwal ociekał nim wtedy. Członkowie festiwalowych Sekcji obnosili się ze swoją ważnością, cała nadęta organizacja i otoczka zepchnęły teatr na drugi plan. Sam teatr też zmarniał – uniwersalnym pomysłem na sztukę stało się dla wielu twórców – upraszczając - wyjście na scenę z butelką wódki, zapalenie papierosa i powiedzenie „kurwa”.

Chyba już po dziesiątej edycji nie miałem kontaktu z organizatorami Festiwalu, aż do momentu, kiedy dostałem wiadomość od Pauliny Czach, obecnej Szefowej FT. Słyszałem też, że wybrnęliście z kłopotów i Festiwal znowu zaczął kręcić się wokół teatru, a nie organizatorów.

P.U.: Czy doświadczenia zdobyte w czasie organizowania trzech kolejnych edycji Festiwalu przydały Ci się

w późniejszym życiu?

M.C.: Powiem tak: prawdopodobnie nie robiłbym dziś tego, co robię, gdyby nie Festiwal. Brzmi to trochę górnolotnie, ale jest prawdą. Pracuję w Polskiej Agencji Prasowej, a więc w mediach, z tymi zaś pierwszy kontakt nawiązałem właśnie w czasie organizowania FT. Któregoś razu w poszukiwaniu sponsorów zadzwoniłem do Radia Eska, wywiązała się z tego dłuższa współpraca. Popracowałem trochę „pro bono” w Esce, potem mnie stamtąd wyrzucili [śmiech] – ale właśnie ten telefon do rozgłośni był moim pierwszym kontaktem z branżą, w której do teraz pracuję, i rozpoczął moją, jak to się mówi: „ścieżkę kariery zawodowej”. Poza tym, cały ten kocioł, jakim było tworzenie Festiwalu, w jakiś sposób nauczył mnie skutecznego działania, odpowiedzialności – nie wspominając o tym, że był świetną zabawą.

P.U.: Czy możesz powiedzieć, czym teraz zajmują się Twoi współpracownicy z czasów pierwszego FT?

M.C.: Nie od wszystkich mam najświeższe wieści, ale wiem choćby, że Kuba Gadomski pracuje w TVN na wozie transmisyjnym – zawsze miał żyłkę do techniki, kabli i tych wszystkich krzemowych wynalazków. Jarek pracuje dla wydawcy Rzeczypospolitej nie jestem pewien, co tam robi, ale chyba zajmuje się łamaniem gazety. Agnieszka, jak ja, pracuje w PAP-ie, piętro niżej. Ola już chyba obroniła doktorat z chemii na Politechnice Warszawskiej i dalej dręczy studentów [śmiech]. Druga Ola z kolei jest szefem działu strategii w sporej agencji reklamowej. Magda jest sierżantem w pionie kryminalnym w Policji. A Jurek jest dalej dyrektorem [śmiech].

E.H.: Czy chciałbyś przekazać

coś organizatorom XV FT, może coś im doradzić?

M.C.: Nie wiem, czy mam mandat, by komukolwiek cokolwiek doradzać – wasz Festiwal to zupełnie inna impreza niż ten mój piętnaście lat temu. Chciałbym tylko, byście wystrzegali się tego, co wcześniej – za wami - nazwałem „lansem” – Festiwal Teatralny miał być po prostu okazją do dobrej zabawy, odezwania się od schematycznej, szarej rzeczywistości szkoły, szansą na zrobienie czegoś wartościowego wspólnie z kolegami i koleżankami, rozruszania społeczności liceum; nie miał służyć temu, by mniej lub bardziej liczna grupa uczniów czuła się ważniejsza od innych...

P.U.: Niech to będzie rada dla wszystkich osób zaangażowanych w Festiwal. Dziękujemy za rozmowę!

Dojrzałość młodzieńczej naiwności

{ Rozmowa z prof. Wojciechem Szarowskim, teatrologiem i członkiem festiwalowego Jury.

Emil Hoff

Emil Hoff: Jest Pan zaangażowany w Festiwal Teatralny niemal od jego powstania. Proszę powiedzieć, jaką rolę odgrywa Pan w organizacji imprezy?

Wojciech Szarowski: Funkcje, które pełniłem, pomagając w organizacji Festiwalu, zmieniały się w ciągu lat. Pamiętam, że jedna czy dwie pierwsze edycje Festiwalu ominęły mnie zupełnie – nie miałem kontaktu z Maciejem Chmielem, ówczesnym szefem całego przedsięwzięcia, nie uczyłem też żadnego z jego współpracowników. Po dwóch – bodajże – latach zaproszono mnie do festiwalowego Jury. Przyjąłem funkcję jurora bez wahania, było mi bardzo miło, że organizatorzy uznali mnie za właściwą osobę na to stanowisko. Od tego czasu uczestniczę w pracach festiwalowego Jury.

Co roku sam zgłaszam się do organizatorów imprezy, oferując wszelką pomoc. Dawniej angażowano mnie na przykład do korekty językowej oficjalnych pism wysyłanych sponsorom; powierzano mi adjustację festiwalowego programu – poprawiałem styl wypowiedzi, wstawiałem brakujące przecinki. Służyłem także radą – wskazywałem niedoskonałości organizacji Festiwalu oraz chwaliłem pomysły uczniów, które uznawałem za wartościowe – swoje spostrzeżenia i uwagi przedstawiałem szefostwu imprezy, wspólnie o nich dyskutowaliśmy. Moje zdanie nie było obligatoryjne, lecz liczone się z nim. Teraz już nie robię korekty tekstów ani nie udzielam zbyt wielu rad. Może to dobrze, może źle.

E.H.: Jakimi kryteriami kieruje się festiwalowe Jury, wyła-

niając zwycięzców konkursu dramatycznego?

W.S.: Ocena spektaklu to sprawa subiektywnych odczuć każdego z Jurorów. Wrażeń dostarczyć może zarówno tekst dramatyczny, jak i jego wykonanie – jednak ceni się przede wszystkim całościowy przedstawienia, ostateczny efekt starań jego twórców. Ponieważ występujący na scenie wykonawcy są młodzi, zwracamy uwagę na świeżość wykonania, spontaniczność i emocje towarzyszące prezentacji. Ważne jest także dobre przygotowanie przedstawienia – mam tu na myśli zarówno techniczne dopracowanie spektaklu, jak i rzetelną interpretację tekstu dramatycznego oraz atrakcyjną prezentację jego walorów.

Cenimy również dojrzałość młodzieńczej naiwności, czyli bezpretensjonalność, która powinna przejawiać się w przedstawieniach licealistów. Dogłębną interpretację tego sformułowania pozostawiam Czytelnikom.

E.H.: Co Pan myśli o poziomie spektakli wystawianych na deskach festiwalowego teatru w ciągu ostatnich lat?

W.S.: Poziom jest różny, nie sposób generalizować. Zdarzały się edycje Festiwalu, w których jeden spektakl wyrastał szczególnie nad inne, był na ustach widzów i Jurorów. Zdarzały się też takie, w których kilka przedstawień miało równe szanse na Grand Prix. W ostatnich latach miałem do czynienia zarówno z prezentacjami wybitnymi, jak i niewartymi uwagi.

E.H.: Czy wystawił Pan kiedyś własną sztukę na Festiwalu

Teatralnym?

W.S.: Owszem, choćby w zeszłym roku wraz z Heleną Marczewską przygotowaliśmy monodram „Ta Dorotka”. Była to sztuka pozakonkursowa, chciałem nią zaprezentować inną, mniej znaną formę teatru, jaką jest spektakl jednego aktora.

Zdarzyło mi się też zagrać w festiwalowym przedstawieniu. Brałem udział w spektaklu opartym na jednym z tekstów „Teatryku Zielona Gęś” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Grałem w nim upiornego demona, byłem doskonale ucharakteryzowany – publiczność nie rozpoznała mnie aż do chwili, gdy wygłosiłem kwestię, stanowiącą absurdalną puentę przedstawienia. Było nią hasło, które od lat wisi nad tablicą w sali 112: „Nikt nie ma alibi dla swojej beczynności intelektualnej”. Dopiero po tej wypowiedzi moja tożsamość wyszła na jaw.

E.H.: Jaką sztukę szczególnie chciałby Pan zobaczyć w czasie Festiwalu Teatralnego? Interesuje Pana jakaś konkretna tematyka, gatunek, może autor?

W.S.: Chciałbym zobaczyć przedstawienie mądre, poprzez które młodzi ludzie mają coś do powiedzenia swoim rówieśnikom. Chciałbym też zobaczyć realizację tekstu literackiego, którego przedstawienie stanowiłoby wnikliwą analizę treści dzieła i zawartego w nim przesłania. Uogólniam, nie chcę bowiem niczego sugerować ani narzucać festiwalowym twórcom. Chciałbym, by ta wypowiedź – jak i cała ta rozmowa – posłużyła raczej za zachętę do ewentu-

alnej dyskusji.

E.H.: Co Pan myśli na temat „Booyack Show”?

W.S.: Jest to element uatrakcyjniający Festiwal. Początkowo był to solowy występ profesora Bujaka, z czasem zaangażował on uczniów, absolwentów i innych nauczycieli. Mam natomiast wątpliwości, czy „Booyack Show” powinien stanowić gwóźdź festiwalowego programu, skoro wystawiany jest tuż przed ogłoszeniem wyników konkursu dramatycznego. Uważam, że należałoby wystawiać ten spektakl o innej porze, może na otwarciu Festiwalu, może po ogłoszeniu wyników. „Booyack Show” tuż przed werdyktem Jury zaburza pewien porządek emocji towarzyszących konkursowi – w końcu wszyscy muszą dłużej czekać na rozdanie nagród.

E.H.: Czy kwestie postaci z „Booyack Show” od początku były rymowane?

W.S.: Chyba nie. Manierę tę prof. Bujak wprowadził kilka lat temu.

E.H.: Dlaczego uważa Pan Festiwal Teatralny za wartościowe przedsięwzięcie?

W.S.: Jest wiele przyczyn. Taka impreza znakomicie integruje społeczność szkolną XXVIII LO. Wielu absolwentów naszego liceum odwiedza je w czasie Festiwalu, by obejrzeć spektakle wystawiane przez uczniów i przypomnieć sobie szkolne lata. Uważam, że to cenne. Następuje także integracja uczniów z nauczycielami, którzy przecież także zasiadają na widowni i oglądają przedstawienia. To dobrze, kiedy wykładowca i jego podopieczny mogą zobaczyć się w zupełnie innych rolach, nawiązać kontakt artysta-widz, tak odmienny od codziennego schematu nauczyciel-uczeń.

Cenię też emocjonalne zaangażowanie uczniów, zarówno tych wystawiających sztuki, jak i organizatorów, którzy dbają o sprawny przebieg Festiwalu. Wspólna praca nad scenariuszem przedstawienia lub udział

w jednej z festiwalowych Sekcji uczy odpowiedzialności, kształtuje umiejętność współdziałania.

Za najważniejszy jednak uważam kontakt ze sztuką, który zapewnia Festiwal. Bywalcy imprezy mogą obejrzeć liczne spektakle, wysłuchać fachowych opinii o nich – to kształtuje w nich postawę świadomego odbiorcy kultury, jej uczestnika i współtwórcy. Artyści i widzowie nauczyć się mogą, jak dojrzałe ocenić teatr, stają się bardziej świadomi jego zalet i braków.

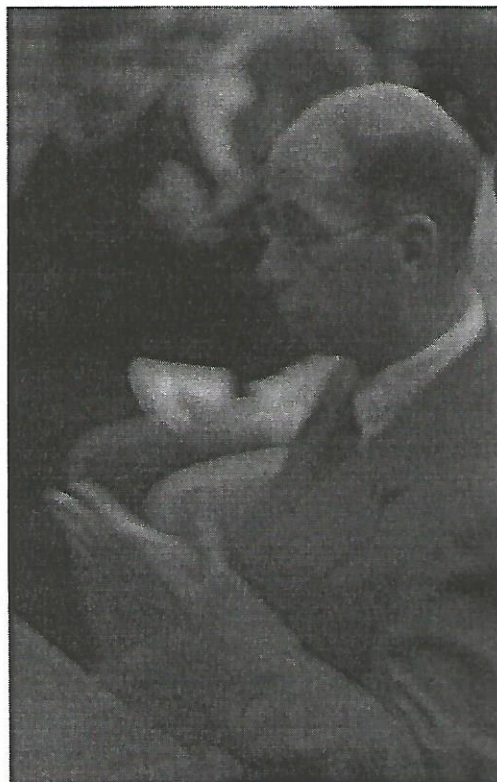
E.H.: Co Pan myśli na temat współczesnego polskiego teatru i dramatu?

W.S.: Jeśli mowa o teatrze, cieszę się, że w ogóle jest. Nie podobają mi się spektakle, w których reżyser próbuje przekazać wizje i idee klasyków własnymi słowami, zupełnie zatracając ich sens. W teatrze nie podoba mi się również akademickość, przez którą z kolei rozumiem zamykanie teatru w ścisłych formalnych ramach. Przedstawienia akademickie jedynie opowiadają historię, ślepo naśladują rzeczywistość i prawdziwe życie. Brak w nich dodatkowych wrażeń estetycznych i intelektualnych, symboliki, sugestii. Teatr nie może ograniczać się do gadających głów, powinien być poszukujący, sięgający po niekonwencjonalne rozwiązania.

To dobrze, że teatr przynosi dzieła klasyków w realia współczesności. To sprawia, że wielkie dramaty żyją. Podoba mi się także, że twórcy spektakli coraz częściej traktują widza jako inteligentnego odbiorcę, który rozumie teatralne konwencje i sceniczne rozwiązania, któremu nie trzeba narzucać najprostszej interpretacji sztuki w obawie, że innej nie zrozumie. Taka postawa artystów zmusza widzów do umysłowego zaangażowa-

nia w przedstawienie.

Co do współczesnego polskiego dramatu - nie podoba mi się, że teksty młodych twórców epatują wulgarnością i brutalnością, zwłaszcza, jeżeli nie mają one uzasadnienia. Martwi mnie brak wybitnych osobowości: dramatopisarzy, którzy mieliby coś ważnego do powiedzenia. Boli mnie również brak komedii, które wywoływałyby na widowni śmiech, a nie rechot z prymitywnych żartów. Cieszy mnie natomiast postawa środowiska teatralnego – reżyserów, teoretyków i aktorów – które organizuje konkursy na współczesny dramat, promuje dzieła wartościowe, patronuje inscenizacjom



tychże.

E.H.: Czy zachęca Pan młodzież do angażowania się w teatr zawodowo?

W.S.: Zachęcam do angażowania się w teatr. Zależy mi, żeby młodzi ludzie poznawali tę dziedzinę sztuki, aby byli świadomymi odbiorcami przedstawień teatralnych. Jeżeli ktoś poczuje w sobie powołanie do bycia artystą, to jego wybór.

E.H.: Co Pan myśli na temat możliwości zrobienia kariery aktorskiej w Polsce?

W.S.: Fatalnie sformułowane pytanie, bowiem w świadomości młodych ludzi słowo „kariera” łączy się niemal zawsze z terminem „gwiazda”. Młodzi ludzie, garnąc się do zawodu aktora czy reżysera, nie mają świadomości jego istoty, pragną za to wykreować swój wizerunek, wypromować siebie – nie sztukę. Natomiast autentyczną – tak to nazwijmy – karierę aktorską, rozumianą jako osiągnięcie uznania publiczności, mogą zrobić tylko ci, którzy dostrzegają wartość sztuki i naprawdę mają coś interesującego do zaprezentowania. Tacy ludzie nigdy nie powiedzą o sobie: „Jestem gwiazdą”.

E.H.: Czy ma Pan jakieś rady dla twórców przedstawień i organizatorów Festiwalu Teatralnego?

Przede wszystkim, gdyby przygotowania do spektakli trwały dłużej, a twórcy byłiby bardziej świadomi swoich celów, można by uniknąć pewnej przypadkowości, zaskakującej nie tylko widzów, ale i samych realizatorów. Z tej – jak to nazwałem

– przypadkowości bardzo często wyziera brak przygotowania zarówno intelektualnego, jak i warsztatowego, co w teatrze szczególnie razi.

Mam też uwagi dotyczące gazety festiwalowej. Nie podobają mi się zamieszczane w niej recenzje spektakli: zbyt wiele uwagi skupia się w nich na aspekcie technicznym przedstawień, a za mało miejsca poświęca się analizie i interpretacji treści sztuk. Uważam, że redaktorzy powinni skupić się przede wszystkim na omówieniu tego, co zostało zrobione, a nie na tym, jak to zrobiono. W końcu twórcy festiwalowych przedstawień są amatorami, nie należy oczekiwać od nich doskonałej gry czy idealnej dykcji, każdemu zdarzy się zapomnieć tekstu.

Poza tym brakuje mi inscenizacji tekstów dramatycznych pisanych przez doświadczonych autorów. Scenariusze tworzone przez uczniów miewają ewidentne niedostatki. Wystawienie czegoś o głębokiej treści i w dopracowanej formie z pewnością wyszłoby na dobre festiwalowym reżyserom i aktorom.

Martwi mnie też fakt, że obecni organizatorzy Festiwalu zupełnie nie

znają jego tradycji. Zresztą nie tylko z własnej winy – cykl nauki w liceum to teraz niepełne trzy lata, trudno w tym czasie poznać, zrozumieć i przyswoić sobie jakąkolwiek tradycję. Dlatego właśnie organizatorzy imprezy nie mają wiedzy o tym, jak wyglądała ona przed pięciu laty, nie czerpią z doświadczeń twórców poprzednich edycji Festiwalu, nie wykorzystują wartościowych rozwiązań realizacyjnych, które sprawdzały się kilka lat temu, ale najwyraźniej zostały zapomniane.

Jest też kwestia oprawy technicznej Festiwalu. Często zdarzają się nieporozumienia między reżyserami spektakli a ludźmi odpowiedzialnymi za oświetlenie, kurtynę lub dźwięk – należałoby jakoś im zaradzić. Chciałbym jednocześnie, by publiczność przyjmowała techniczne usterki ze zrozumieniem, a nie reagowała ogólną wesołością, przykrą dla artystów i realizatorów przedstawienia.

E.H.: Pozostawmy Czytelników z tą refleksją. Dziękuję Panu za rozmowę.

„Chcę spróbować czegoś nowego”

{ „Chcę spróbować czegoś nowego”

Piotr Łaziuk

Piotr Łaziuk: Sekcja Koordynacyjna debiutuje w tym roku na Festiwalu Teatralnym. Skąd wzięła się koncepcja jej powołania?

Magda Kosmala: Zacznę odrobinię nieskromnie [śmiech]. W zeszłym roku miałam przyjemność brania udziału w festiwalach teatralnych, organizowanych przez różne warszawskie szkoły. Jednocześnie próbowałam podpatrzeć, jak nasi rówieśnicy radzą sobie z organizacją podobnych przedsięwzięć. W

Liceum Batorego wyspecjalizowana grupa zajęła się naszą ekipą, oferując pomoc w sprawach technicznych i nie tylko. Pomyślałam, że podobne rozwiązanie można śmiało zastosować w naszej szkole. Szefowa tegoż Festiwalu, Paulina Czach, z wielkim entuzjazmem podeszła do tejszej koncepcji, proponując, bym wraz z Kasią Wardaszko i Maćkiem Koczocikiem stanowiła jej trzon.

P.Ł.: Każdy porządny triumwirat potrzebuje jednak współ-

pracowników...

M.K.: Oczywiście, choć nie planujemy, by Sekcja osiągnęła monumentalne rozmiary. Dobieraliśmy sobie po jednym lub po dwóch współpracowników.

P.Ł.: Jakie zadania przed sobą stawiacie?

M.K.: Naszym głównym celem jest „opieka” nad grupami teatralnymi, czyli m. in. zapoznanie się z aktorami, przydzielenie im garder-

by oraz bezpośrednia pomoc przed, jak i po spektaklu. Chcemy w ten sposób uniknąć zamieszania przy scenie, a także sprawić, by uczestnicy przedstawienia nie musieli kłopotać się sprawami technicznymi, a jedynie skupić się na grze. Szczególną troską otoczmy gości spoza Kochanowskiego oraz pierwszoklasistów.

P.Ł.: Nie przeszło Ci nigdy przez myśl: „Sekcja Koordynacyjna? Przecież to degradacja!”? W ubiegłym roku szefowałaś prestiżowej Sekcji Konferansjerów, przy tym nie brak było opinii, że powinnaś objąć szefostwo Festiwalu...

M.K.: To bardzo miłe, jednak „szefowanie” Festiwalowi nigdy nie

było moim celem. To pracochłonna i szalenie odpowiedzialna funkcja, nie jestem przekonana, czy to właśnie rola, w której realizowałabym się najowocniej. Bardziej przemawia do mnie aktywność w Sekcjach, które umożliwiają czynny udział w Festiwalu, do tego w tym roku zamierzam zagrać na deskach kochanowskiego teatru. Jeśli chodzi o Konferansjerkę, to wydaje mi się, że poznałam tę pracę od podszewki i zawsze będę ją dobrze wspominać. Doświadczenia, które zdobyłam, na pewno zaprocentują w przyszłości, jednak chciałam też spróbować czegoś nowego. Zupełnie nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że Sekcja Koordynacyjna to degradacja. Wręcz przeciwnie, myślę, że stworzenie jej od zera jest dużym wyzwaniem, któ-

re wiele mnie nauczy. Kryterium widowiskowości jest w tym przypadku kompletnie nieistotne.

P.Ł.: Czyli zamierzasz ruszyć do boju o Grand Prix?

M.K.: Takiej deklaracji w tym miejscu nie złożę [śmiech]. Każdy twórca, choćby nie wiem jak odżegnywał się od wszelkich aspiracji, podświadomie marzy o triumfie, to cecha typowo ludzka. Jednak triumf osiągną doskonale dopracowane sztuki, które przypadną do gustu Jury. Nie mam pojęcia, jak będzie w przypadku mojego przedstawienia, mam jedynie nadzieję, że nie będziecie się nudzić.

P.Ł.: Czekamy zatem z niecierpliwością. Dziękuję za rozmowę.

Tłumy w kolejce do Piotra Jagodowskiego

{ – czyli Szef Sekcji Bezpieczeństwa o XV Festiwalu Teatralnym.

Zofia Kujawska: Podczas Festiwalu Teatralnego od Ciebie zależy szereg rzeczy związanych z porządkiem i bezpieczeństwem imprezy. Czy masz już jakieś doświadczenie w pracy w Sekcji Bezpieczeństwa?

Piotr Jagodowski: Mam. Pracuję w Sekcji Bezpieczeństwa od pierwszej klasy, od XIII Festiwalu Teatralnego i brałem udział we wszystkich Festiwalach, łącznie z przeglądem muzycznym, który był niestety jedną wielką kłapą.

Z.K.: Jak zostałeś Szefem Sekcji Bezpieczeństwa?

P.J.: Broda – Marcin Brodowski, mój poprzednik – mianował mnie swoim następcą, ponieważ uważał, że dobrze wykonuję powierzone mi

zadania – rzeczywiście, lubiłem to, co robiłem. Jednak wbrew temu, co uważają organizatorzy przeglądu muzycznego, nie widziałem Brody ani razu przed Festiwalem i moja nominacja nie odbyła się, jak twierdzą, po znajomości. Tak samo ja wybieram mojego następcę, którego wcześniej nie znałem – będzie to Piotrek Moreń - myślę, że się nadaje.

Z.K.: Co należy do Twoich obowiązków jako Szefa Sekcji?

P.J.: Moje obowiązki to koordynowanie pracy członków Sekcji. Polega to na rozstawieniu ich na odpowiednich stanowiskach, dopilnowaniu, żeby osoby stojące przy wejściu, kontrolowały torby wszystkich osób wchodzących na teren szkoły i żeby nie omijały znajomych. Sytuacje, w których bramkarze nie

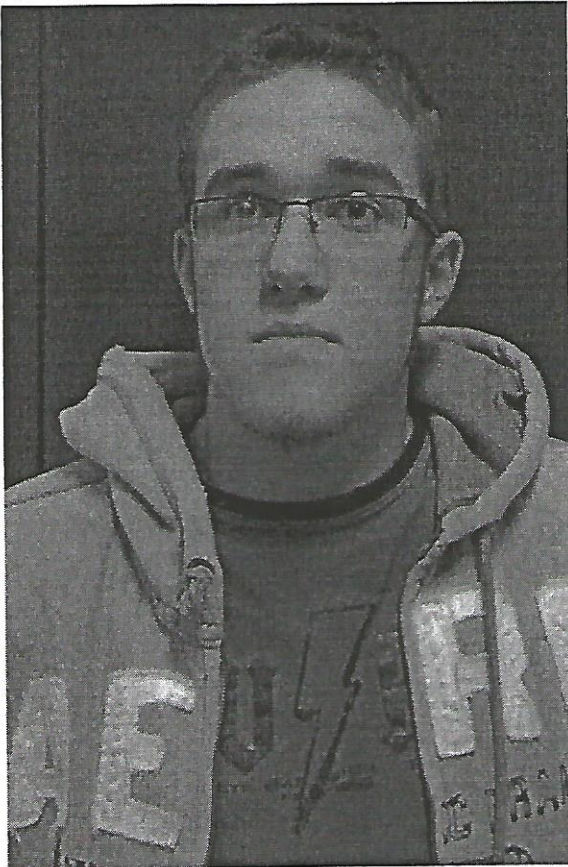
Zosia Kujawska

przeszukiwali toreb znajomych, a później okazywało się, że został w nich wniesiony np. alkohol, niestety miały już miejsce na wcześniejszych Festiwalach. Są to sytuacje nieprzyjemne i chcę ich unikać. Ponadto, jako Szef, czasami muszę zainterweniować, np. wzywając Straż Miejską. Taka sytuacja miała miejsce w czasie trwania Festiwalu Teatralnego – bodajże trzynastego – na teren szkoły weszły osoby będące pod wpływem marihuany, nie chciały wyjść, a jako Sekcja, siły możemy używać tylko w skrajnych przypadkach, to nie był taki przypadek, więc wezwaliśmy Straż Miejską. Dopiero ona ich usunęła. W imieniu Festiwalu Straż Miejską, oprócz Pana Dyrektora, może wzywać tylko Szef Sekcji Bezpieczeństwa (prywatnie może każdy) – więc to także

należy do moich obowiązków.

Z.K.: Jak wyglądają przygotowania Sekcji, kiedy się zaczynają, na czym polegają?

P.J.: Przygotowania tej Sekcji na pewno nie są tak rozbudowane, jak w przypadku innych Sekcji. Elementem, który zabiera nam najwię-



cej czasu, jest wykręcanie klamek z okien na korytarzach. Jest to rozkaz odgórny, nie pamiętam czy od Dyrektora, czy od Szefa Festiwalu. Na naszych korytarzach okien jest na tyle dużo, że wykręcenie wszystkich klamek jest dwugodzinną robotą dla ośmiu osób. Poza tym mamy 2-3 spotkania, na których mówimy, na czym polega nasza praca, jak przeszukiwać ludzi. W tym roku wprowadzoną przeze mnie nowością będzie spotkanie ze studentem Uniwersytetu Medycznego, który udzieli nam informacji w zakresie pierwszej pomocy. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś zasłabł, ale w sali podczas Festiwalu jest bardzo duszno i istnieje taka możliwość. W takiej sytuacji warto wiedzieć, jak się zachować.

Z.K.: Jak liczna jest Sekcja?

P.J.: W tym roku zgłosiło się bardzo dużo osób – aż czterdzieści pięć. Zwykle nie było więcej niż dwadzieścia. Najwięcej jest pierwszoklasistów, większość z klasy 1d.

Z.K.: Jakie są procedury bezpieczeństwa dla uczestników?

P.J.: Uczestnicy nie mogą wносить używek, niebezpiecznych przedmiotów. Osoby nietrzeźwe nie zostaną wpuszczone. My o to musimy zadbać. Oczywiście, jeżeli ktoś bardzo chce wnieść np. alkohol, da się to zrobić. Przelanie wódki do butelki po wodzie jest bardzo popularnym sposobem. Nie przeszukujemy wchodzących aż tak dokładnie. Umieemy jednak wyłowić z tłumu osoby, które piły, a dwudziestu członków Sekcji to ilość wystarczająca do obstawienia całej szkoły. Alkohol naprawdę czuć, wystarczy przejść obok kogoś, kto pił i od razu to wiadomo. Jeżeli znaj-

dziemy kogoś takiego, niezależnie od tego, kim ta osoba jest, musi opuścić teren szkoły. Zwykle usuwamy około piętnastu-dwudziestu osób.

Z.K.: Czy istnieją jakieś zasady, które Was ograniczają?

P.J.: Tylko takie, jakie ograniczają każdego obywatela. Nie mamy żadnych szczególnych przywilejów. Możemy zabronić wejścia na teren Festiwalu, jeżeli ktoś odmówi pokazania zawartości plecaka, lub – na podstawie paragrafu drugiego – bez wskazania konkretnego powodu, na zasadzie „ten mi się nie podoba”, bo wydaje się, że może stworzyć zagrożenie. Nie możemy nikogo bić, jeżeli już - to w obronie własnej. Zawsze na terenie szkoły jest przy-

najmniej czworo ochroniarzy z firmy, którzy nam pomagają – tak jak było w przypadku sławnej już historii z siekierą: przyszedł pan z siekierą i chciał wejść na Festiwal, ja stałem akurat przy wejściu i nie wiedziałem, co z nim zrobić. Powiedziałem mu, że nie wejdzie z siekierą, na co odpowiedział, że chodzi z nią tylko po ulicy, bo czuje się bezpiecznie, zostawił siekierę w szatni i wszedł.

Z.K.: Jak wygląda codzienna praca Sekcji?

P.J.: Zbieramy się około dwie godziny przed rozpoczęciem imprezy, robimy obchód, sprawdzając czy nie zostały gdzieś poukrywane butelki, zamykamy górne piętro. Później robię grafik – kto, gdzie i jak długo stoi. Najczęściej jednak trudno jest go wcielić w życie, bo wystarczy, że jedna osoba się z niego wyłamie i cały się sypie. Dlatego nie skupiam na nim wiele uwagi, każdemu wypisuję mniej więcej, co do niego należy, a jeśli coś się nie zgadza, to proszę członków Sekcji, żeby dogadywali się sami. Taki system zawsze działa. Kończymy ostatni, pomagamy też Sekcji Porządkowej, czyli wychodzimy ze szkoły koło 2-3 w nocy.

Z.K.: Dlaczego warto się zapisać do tej Sekcji?

P.J.: Ma się darmowy wstęp na Festiwal, ładnie się wygląda [śmiech]. Nie da się, co prawda, obejrzeć więcej niż 2-3 sztuk, ale mimo tego, warto poczuć atmosferę Festiwalu. Ciagle coś się dzieje, no i poznaje się bardzo dużo świetnych osób, które uczestniczą w Festiwalu z pasji, robią sztuki, czy pomagają w organizacji za darmo, bo ta pasja ich łączy. Często są to znajomości na długo.

Z.K.: Dziękuję za rozmowę.

„Mam nadzieję, że będzie dobrze!”

{ Rozmowa z Aleksandrą Zawadzką, Szefową Sekcji Design.

Ewa Machnacz: Na czym polega Wasza praca?

Aleksandra Zawadzka: Sekcja Design – jak sama nazwa wskazuje – ma za zadanie przystroić szkołę tak, żeby nie wyglądała jak podczas zwykłych szkolnych dni.

E.M.: Jak przebiegają przygotowania do Festiwalu Teatralnego?

A.Z.: Zaczynamy od spotkań, na których ustalamy motyw główny dekoracji. Potem należy pomyśleć, z czego ją wykonać i gdzie kupić materiały. Na to trzeba mieć sporo czasu. Później bierzemy się za tworzenie niektórych elementów dekoracji, a na końcu – w tygodniu przed samym Festiwalem – rozwieszamy je w szkole.

E.M.: Jaki jest motyw przewodni na ten rok?

A.Z.: Jest to las. Chciałam, żeby po wejściu do szkoły wydać było zmianę i to, że ktoś włożył w nią sporo pracy. Nie chodzi tylko o to, żeby szafki obkleić plakatami, a na ścianach powiesić parę pszczołek, chciałam zrobić coś ambitniejszego. Bałam się, że mój plan nie wyjdzie, że coś się nie uda – ale z drugiej strony uważam, że ostatnie Sekcje Design zapomniały, jaka jest ich idea i cel. Nie była to prawdopodobnie wina osoby wymyślającej wystrój – nie da się nic poradzić, że do Sekcji zapisało się mało osób, albo na to, że budżet jest ograniczony.

E.M.: Skąd się wziął pomysł

na motyw lasu?

A.Z.: Wymyśliłam to od razu, kiedy Paulina poprosiła mnie, żebym została Szefem Sekcji Design. Muszę przyznać, że spanikowałam, bo w pierwszej i drugiej klasie byłam w Sekcji Porządkowej. Jest to świetna Sekcja – członkowie mają pozytywne nastawienie, pracują tylko podczas samego Festiwalu, nie ma żadnych nieprzyjemnych sytuacji, za to jest świetna zabawa. Byłam więc zaskoczona, kiedy dostałam propo-



zycję przejęcia Sekcji Design. Pomysł lasu wydał mi się efektowny i prosty do zrealizowania.

E.M.: Jakie czynniki wpływają na przygotowanie designu Festiwalu?

A.Z.: Przede wszystkim pieniądze, ale w tym roku nie mamy powodów do narzekania. Najgorzej jest z czasem. Musimy przygotować takie dekoracje, żeby zdążyć je rozwiesić. Przykładowo: małą salę możemy dekorować dopiero w piątek, ponieważ dopiero wtedy nie ma lekcji WF. Boję się, że nie zdążymy, ale jest nas dużo, więc powinno być dobrze.

Ewa Machnacz

E.M.: Ile jest osób w Twojej Sekcji?

A.Z.: Zapisało się ponad trzydzieści – to bardzo dużo. Parę osób zrezygnowało, więc aktywnych członków jest około 25, w tym siedmiu chłopaków! To niesamowite, bo odkąd pamiętam w Sekcji był maksymalnie jeden chłopak. Najwięcej członków jest z pierwszych klas, szczególnie z 1d, sporo z 1e, 1b. Podobno zachęciła ich informacja, że do Designu nie trzeba mieć talentu plastycznego. Cieszę się,

że zapisało się tylu pierwszoklasistów. Dobrze, że się angażują, że ich zainteresowanie jest większe niż obecnych drugich klas w zeszłym roku. To mi się podoba, bo miałam obawy, że nie będzie osób, którym będzie można oddać Festiwal.

E.M.: Jak układa Ci się współpraca z członkami Sekcji?

A.Z.: Staram się traktować członków mojej Sekcji po partnersku, nie wywyższać się. Bardzo cenię sobie ich zdanie. Kiedy mieliśmy spotkanie organizacyjne, wpadli na parę bardzo dobrych pomysłów. Ja miałam ogólny zarys, przedstawiłam im go, a oni dopracowali szczegóły. Zobaczymy czy, oprócz tego, że pomysłowi, są także pracowici. Myślę, że dadzą radę ze wszystkim.

E.M.: Oby tak się stało! Dziękuję za wywiad.

„Z pamiętnika poznańskiego konferansjera”



Poniżej zamieszczamy opowiadanie napisane w 1996 r. przez Bartka Biedrzyckiego, konferansjera I Festiwalu Teatralnego w Kochanowskim. Dzięki jego uprzejmości Czytelnicy mogą zapoznać się z początkami Festiwalu oraz przebiegiem pierwszej jego edycji. Kolejne części opowiadania drukowane będą w dwóch następnych numerach „Subiektywnika”.

Redakcja

Tytuł: „Z pamiętnika poznańskiego konferansjera...”

Wersja: R

Czas pisania: 1 – 5 kwietnia 1996 roku

Typ: opowiadanie paradokumentalne

Uwaga! Patrz: akapit na końcu tekstu

Wszystkie postacie i wydarzenia opisane w tym tekście zostały w nim umieszczone po uprzednim uzyskaniu koniecznej zgody.

THE THEATRE FESTIWAL 29-31 MARCH 1996

Motto: “Życie jest jak teatr...”

* * * *

Szedłem korytarzem, kiedy zobaczyłem Surę. Od kilku dni miał mi przynieść kasetę, ale wciąż zapominał, więc postanowiłem mu się przypomnieć. Podeszedłem do niego i przywitałem się.

- Hej, piątka! – „przybiliśmy” dłońmi. – Kiedy przyniesiesz mi kasetę?

- Jak będę pamiętał. – Sura starał się wykręcić.

- Biedrzc – wmieszał się do rozmowy Soutys [Maciej Chmiel – przyp. red.]. – Robimy festiwal teatralny, chcesz być konferansjerem?

- Na pałę upadłeś? Nie. – zaprotestowałem. Mimo mojego sprzeciwu Soutys nie chciał ustąpić. Wreszcie powiedziałem, że się zastanowię. I że nie mam zamiaru robić tego sam.

- Olka – zawołał Maciek do stojącej dalej dziewczyny. – To jest Biedrzc – pokazał na mnie. – Będziecie razem robili konferansjerę na festiwalu.

Olka zaprotestowała tak samo, jak ja. Jednak już po kilku minutach Maciek dopiął swego.

- To co? – spojrzałem na stojącą naprzeciw mnie drugoklasistkę. – Robimy?

I na tym stanęło.

Na początku o festiwalu niewiele było słyhać. Czasem ktoś coś wspominał, raz gospodarz liceum wygłosił komunikat, że odbędzie się, ale większość klas go wyśmiała. Impreza nie zapowiadała się dobrze, wyglądało na to, że festiwal upadnie jak wiele innych projektów.

W czasie lekcji polskiego, siedząc pod oknem i rysując na okładce zeszytu Conana, myślałem o całym przedsięwzięciu. Nigdy jeszcze nie byłem konferansjerem. Ciekaw byłem, co zostanie wystawione, zastanawiałem się, w co się ubiorę, jak to wszystko ma wyglądać... Wtedy właśnie przypomniałem

sobie short sci-fi z pewnego magazynu literackiego. Nazywał się „Śmierć Marsjanina”.

W klasie właściwie nie było sensu szukać aktorek – dziewczyny były zbyt drętwe do takiego przedsięwzięcia, to musiał być ktoś trochę rąbnięty, jak ja... Na przerwie wybiegłem z pracowni i odnalazłem Fuzzego. W pierwszej chwili był nastawiony sceptycznie. Trzy dni później mieliśmy komplet aktorów do naszej sztuki politycznej “Śmierć Marsjanina”.

Dni szybko mijały. Pozornie nic się nie działo w szarej, szkolnej rzeczywistości, ale prędko utworzyło się kilka grup, które zadeklarowały chęć wystawienia spektakli. Soutys związał się jak w ukropie, cały rozradowany. Pożyczył sprzęt, radził się ludzi i innych szkół, namawiał, przekonywał, rzucał czary i klątwy i wbijał szpilki w lalki voo doo.

Postanowiono, że festiwal odbędzie się w ostatnie trzy dni marca. W piątek, sobotę i niedzielę.

- Jak idzie sprzedaż biletów? – zapytałem Olki. Siedziała przy niewielkim stoliku, na półpiętrze, obok popiersia patrona, którego ktoś oszpecił nacjonalistycznym symbolem na czole. W dodatku zrobił to krzywo i niestarannie.

- Jak do tej pory, słabo – zajrzała do jednej z kopert, które leżały na stoliku.

- Trzy karnety na cały festiwal i piętnaście pojedynczych biletów.

Skrzywiłem się i przysiadłem na brzegu blatu.

- Nie będzie widowni, przed którą wyszlibyśmy na idiotów – stwierdziłem. Cały czas byłem nastawiony dość sceptycznie do funkcji konferansjera, której miałem się podjąć. Zapytałem ją, jak się ubierze, żeby zastanowić się, co sam założę. Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas na ogólne tematy.

Na tydzień przed festiwalem ilość sprzedanych biletów wzrosła tylko nieznacznie. Soutys wyklinał cały świat i zastanawiał się, z czego pokryje koszt imprezy. W takim niewesołym nastroju odnalazłem go w korytarzu, koło pokoju nauczycielskiego. Próbowałem siłą wymusić na nim dostarczenie tekstów do konferansjery, ale w odpowiedzi usłyszałem jedynie, że poszczególni wykonawcy jeszcze niczego mu nie przekazali. Wściekłem się i teraz ja zacząłem się naprawdę denerwować. Przez jakiś czas trwaliśmy razem w takim podłym nastroju. [...]

Tekst został mi dostarczony, ale dopiero w piątek rano, na kilka godzin przed festiwalem. Poprzedniego dnia odbyła się gigantyczna awantura, ale nic nie mogłem poradzić. Od Soutysa skierowałem swoje kroki na półpiętro, gdzie siedziała Ola.

- Czy możesz się zerwać z lekcji? – zapytałem. Początkowo nie mogliśmy się zdecydować, która to ma być lekcja, wreszcie jednak doszliśmy do porozumienia. Najczęstszą moją myślą w tych chwilach była chęć rzucenia wszystkiego w diabły. Było już jednak za późno, aby się wycofać.

Siedziałem na stołówce, kiedy dosiadła się do mnie Agnieszka. Po pytaniu dotyczącym czytanych przeze mnie kartek wyrwała mi je i zaczęła przeglądać.

- Zrywam się z polskiego – oznajmiłem.

- Weź mnie ze sobą, nie mam wypracowania – to właśnie była jedna z tych sytuacji, kiedy kobiecie nie można odmówić.

- Wiesz, są jakieś błędy w zapowiedzi do waszego przedstawienia. Musisz mi z tym pomóc – powiedziałem..

- Spoko – skwitowała to łobuzerskim uśmiechem.

Wychowawczyni, widząc mnie czekającego przed drzwiami do pracowni, chyba przeklinała mnie w duchu, a już na pewno miała wyjątkowo nieszczęśliwy wyraz twarzy.

- Nie, nie, pani profesor. Mam dzisiaj wypracowanie – wyjaśniłem szybko. Potem zacząłem długo i szeroko omawiać kwestię mojej konferansjery.

- Idź, idź – machnęła ręką.

- Mogę pożyczyć Agnieszkę Ożadowicz? – zapytałem już spod drzwi. Zgodziła się.

Zamknąłem za nami drzwi i ruszyliśmy na stołówkę, gdyż tam miała na mnie czekać Aleksandra.

- Olka na ciebie czeka – oznajmił mi Marcin, mijając mnie na schodach. – Jest na stołówce.

- Wiem – odpowiedziałem. – Wiem.

- Bartek! – zawołał Mikołaj, siedzący na ławce pod ścianą – Ta dziewczyna czeka na ciebie na stołówce.

- Wiem – zachnąłem się. – Jak ktoś mi to powtórzy...

- Biedrzyc, Olka na ciebie czeka – powiedział Globi, mijając mnie w drzwiach do stołówki. Złapałem się za głowę i zdusiłem w gardle jęk.

- Ol... – zaczął Fuzzy, ale krzyknąłem tak głośno, że połowa ludzi siedzących przy stolikach obejrzała się na mnie.

Olka rzeczywiście czekała, na blacie obok niej leżały już kartki dla konferansjerów. Ja wyciągnąłem z plecaka swoje.

- Agnieszka, Olka – przedstawiłem sobie dziewczyny. Przywitały się. - Kto układał ten tekst? – zapytałem. – Tam są takie grafomańskie bzdury, że ja nigdy tego nie powiem.

- To Soutys jest autorem tego tekstu.

- W takim razie wybaczam, nie będę wymagał od informatyka poprawnej polszczyzny. Ale te teksty musimy przepisać w całości.

- Zaczęłabym od tego... – Ola wskazała długopisem pierwszy akapit.

I tak zaczęło się przepisywanie tekstów przeznaczonych dla konferansjery, krok po kroku, spektakl po spektaklu. Wypisywaliśmy na kartkach czynności, przerwy i czas ich trwania, różne ważne rzeczy. Przeredagowaliśmy pojedyncze zdania, lub w razie potrzeby całe zapowiedzi, radząc się co jakiś

czas Agnieszki, siedzącej obok i czytającej moje opowiadania. [...]

Kiedy godzinę później skończyliśmy, uznaliśmy, że czas na próbę. Na sali było tylko kilku chłopaków zmagających się ze sprzętem muzycznym, no i oczywiście Soutys. Wypomniałem mu straszliwe grafomaństwo konferansjery, na co on stwierdził, że teksty pisał razem z Amigantem i że to nie jego wina. Potem wspieliśmy się z Olką na scenę i po kolei zaczęliśmy odczytywać zaznaczone partie materiału. Próby z mikrofonem wypadły gorzej niż się spodziewałem. Z tym spostrzeżeniem pojechałem do domu.

Kilka godzin później byłem z powrotem w szkole. Olki jeszcze nie było, więc wdałem się w rozmowę z Kubą, pełniącym rolę głównego technika i kontrolera wszystkiego. Aleksandra zjawiła się jakiś czas potem ubrana w długą, czarną suknię. Wyglądała w niej bardzo gustownie. [...]

- Witamy państwa na pierwszym Festiwalu Teatralnym – odczytałem z kartki. Zaczęła się nasza próba generalna. Za naszymi plecami chłopaki z klasy drugiej ustawiali scenografię do swojego przedstawienia.

- Kto obsługuje światło? – zapytał jeden z nich.

- Ja – powiedział Kuba – A co chcecie?

- Będziemy śpiewali disco-polo – wyjaśnił szybko tamten. – „Róża Wschodu”. Daj reflektor na Beńkę.

- Nie ma mowy – stwierdził Kuba. Beńka była postrachem całego liceum, chyba nawet i samego dyrektora.

Było już wpół do piątej, kiedy dobrnęliśmy do końca próby. W międzyczasie jeszcze kilkakrotnie zmieniliśmy tekst, doczepiając dostarczone przez aktorów i reżyserów kartki.

- To wszystko. Dziękujemy – powiedziała Ola.

- Przy drzwiach znajduje się puszcza – dodałem. – Wychodzących proszę o wrzucanie do niej jałmużny. Kwota będzie, e... wliczana do średniej. Do widzenia – uśmiechnąłem się do festiwalowej partnerki.

- Zwariowałeś – też się uśmiechnęła.

- Powiem to. Serio, powiem to – odparłem.

Ciąg dalszy w następnym numerze...